

Włodzimierz Żukowski

**Sen
komisarza
O'Mletta**

Warszawa 2013

Wszystkie nazwiska, nazwy miejscowości i wydarzenia przedstawione w tej książce są przypadkowe i mają związek z rzeczywistością tylko o tyle, o ile rzeczywistość zechce się z nimi utożsamiać.

W roku pańskim, od dzisiejszych czasów wielce wstecz odleżył, którego prawdziwej kolejności zgodnej z prawdą historyczną nikt rzetelnie do dzisiaj obliczyć nie potrafi, w leżącej na dalekich obrzeżach grodu Twierdzy Starogrodzkiej, w ukrytym w jej sercu gabinecie tronowym pewnego chmurnego poranka odkryto wiszące ciało z grubsza przypominające jedną z postaci Jedyne-go Prawdziwego Ojca Narodu w dwóch osobach, wbite za lewe ziobro na jednej z odnóg trójramiennego świecznika, w którym na czas uroczystych posłuchań osadzano łokciowe, stuściędziesięciowatowe gromnice.

Makabrycznego odkrycia dokonali zaufani, po wielokroć w Instytucie Niepamięci Wybiórczej sprawdzeni dworzanie, którzy, jak co miesiąc, z pochodniami, bębnami i sztandarami brali udział w odnowie uroczystego poświęcenia futryn, progów oraz scho-

dów, po których uprzednio raczyła stąpać druga z postaci, z którą Prawdziwy Ociec stanowił nierozdzielalną jedność. Wielce niesubordynowani dworacy miesięcznicę tę świętujący bez wcześniejszego uzgodnienia lub rozkazu tudzież wbrew ostrzeżeniom ochrony ośmielili się zajrzeć do wnętrza gabinetu i ujrzeli zewłok, który zdawał się im być ponad miarę znajomy.

Na miejsce tragedii natychmiast przybył powiadomiony przez kapelana biskup sufragan, który osobiście zagwarantował bezstronność oceny, choć chwilowo niedysponowanym będąc do zawartości ducha w ofierze pewności nie miał, jako i w pełni rozpoznać go nie wydolił. Dopiero po nim nadbiegł zawiadzany przypadkowy konował z pogotowia grodowego, któremu po wnikliwym przesłuchaniu zezwolono na stwierdzenie zgonu ofiary, mimo że nie uzyskano pewności, czy przypadkiem nie praktykował tej swojej medycyny we wsi Moskwa alibo u jakich niewiernych Kałmuków samą nieprawdą żyjących.

Sytuacja była zastanawiająca, gdyż gabinet tronowy był całodobowo na trzy zmiany chroniony przez dwudziestu czterech wysoko wyszkolonych przez agenta Tomisława z Podrywizny przybocznych drabów uzbrojonych w broń długą, dubeltowo ostrzoną, maczugi bardzo kolczaste i halabardy z celownikiem laserowym, wobec czego dostęp do Prawdziwego Ojca Narodu na złotym stolcu sie-

dążącego był praktycznie niemożliwy, przeto teoretycznie nieprawdopodobnym było, aby mógł tam wisieć kto inny.

Onże Prawdziwy Ociec żywot bogobojny, a jeno kombinacji wszelakiej poświęcony pędząc małżony nie miał ani dzieciaków nijakich, jeno kota wiernego przy boku mając i przyjaciółkę jedną przechodnią, powabu niewieściego dokumentnie pozbawioną. Przeto Oćcem na wyrost go zwano za zasługi przeliczne, przez niektórych prosto dla chlebów tłustych wydumane, ale w rzeczy samej nieistniejące.

Nawet prawa jazdy na karetę ani na rumaka wierzchowego Prawdziwy Ociec nie zrobił, ani konta w kantorze u jakowgo Żyda nie założył, ciągiem na takową duperełę czasu do zbytu ani chęci nie mając, albowiem nowością wszelką i ekonomiją wielce pogarżał, tradycję conajstarszą konserwując.

A był ci Jedyny Prawdziwy Ociec Narodu przyrodzonym władcą i myślicielnikiem tak wielkim, że mało kto wyrozumieć go potrafił i dygresyje jego przenajzawilsze pojąć, bez co ciągiem tłumaczyć było trzeba, co miał na myśli mówiąc, że nic na niej nie ma. A jak umyślił co i narodowi w ekspozee przedstawił, to tak uczenie i zagranicznie to brzmiało, że conajmądrzejsi ekonomiści ze śmiechu nad swą niewiedzą brudnymi łapami za łeb się brali turlając się przy tym z ukontentowania, jurystom zaś wielce

niedouczonej Hammurabiego czasy jako żywe przed kaprawymi ślepacami stawały.

Dla żadnego władcy w on czas panującego Prawdziwy Ociec Narodu poważania przynajmniej nie miał, bo on sam był wszak jedynym władcą godnym, a inni wszyscy nieprawdziwi i przypadkowi, jemu na przekór przez wrogów postawieni, tedy nijakich równych mu nikt by i ze świecą szukając nie naszedł, a o lepszych to już nawet i mowy być nie mogło.

W herbie sępi łeb w koronie na bakier założonej, w niebiesko-majtkowym polu nosił, nie wiadomo przez kogo ni kiedy nadany, ale byli pono tacy, co widzieli takową pawęż pod Cedynią, jeno pomniść nie mogli, czy po cesarskiej, czy po naszej stronie, ale bajki to przecie były niegodziwe, bo jeno ohydni przeciwnikowie Oćca Narodu mogli mieć dziadka w Wehrmachcie albo prababkę w kawalerii Budionnego.

Nie tracąc czasu na szczegółową identyfikację, utrudnioną z racji upływu czasu i panujących upałów, szczątków nie zdjęto z haka, jeno wraz ze świecznikiem zabrano w poświęcony całun owinięte i powołano kosmiję złożoną z samych conajświatlejszych ekspertów pod buławą tajnego palatyna do spraw pokrętnych Antka z Macierzy w celu wypracowania decyzji, gdzie będzie można dokonać bezstronnej a uczciwej ciała lustracji, nie narażając go na kon-

takt z niedouczonymi konsyliarzami sterowanymi z za węgła przez snujących się wokół grzeszników politycznych.

W związku z tym, że jedyna w Twierdzy skrzynia z lodem do gniazdka podłączona zajęta była ważną dokumentacją przewidzianą do przyszłego wykorzystania w ewentualnym ekspozee przedwyborczym, do czasu zokończenia prac komisji ciało postanowiono złożyć w jednej z piwnicznych kaplic, poprzednio wykorzystywanych jako miejsca medytacji dla zaprzańców nierozsądnie usiłujących opuścić Jedynego Prawdziwego Oóca Narodu w godzinie próby.

Niestety, mimo wysiłków, nie udało się utrzymać wydarzenia w pełnej tajemnicy, gdyż jedna z zaufanych niewiast, po wielce patriotycznych czynnościach rycerskich bałagan sprzątających, uwolniła się z prewencyjnego zamknięcia w wygodce, wybiegła podkasana przed bramę i odetchnąwszy świeżym powietrzem zemdląła z jego nadmiaru, wobec czego powstałym zbiegowiskiem natychmiast zainteresowały się polskojęzyczne, reżimowe media i pismactwo wszelkie zajadłe myśląc, że być może niespodziewanie przyjechał do nas z Albionu książę Harry i tańce jakieś bezbożne bez gaci odprawuje.

A że była ona białogłowa nieprzystojnie ruda i piegowata jako zaśnieżony podwórzec po wybuchu granatu w szambie, to tym

bardziej urodą swą wielkie do księcia Harrego zachowała podobieństwo, licznych paparaców udatnie zwodząc.

Komisja już po kilkunastu niedzielach intensywnych obrad wspomaganych rekolekcjami doszła do świątłego wniosku, że ciała dokumentnego rozkrojenia najlepiej byłoby dokonać na jakowyś Antypodach alibo w Teksasie, jak tylko za lat ileś tam zostanie odkryty, bo jeno tamtejsi uczeni mężowie właściwy poziom wiedzy tajemnej w zakresie cielesności reprezentują stale na golasa chodząc, i to niezależnie od pogody i kierunku nauk, z jakich galopujące doktoraty posiadli.

Tak więc leżał domniemany Ociec Narodu w lochu sprośnym, jeno wraz ze świecznikiem w całun poświęcany owinięty, aż się zaśmierdł do imentu, na co nawet arcybiskup poradzić nie mógł, choć kropił go na potęgę trzy razy dziennie i wodę święconą, pół na pół z najprzedniejszą larendogłą wymieszaną w złotych kubkach co i raz mu z katedry dowożono.

Aż przyszedł raptem pomór ze świata kryzysem dla niepoznaki zwany, przez innowierców sprośnych roznoszony i każdy, kto jeszcze jako tako żyw ostał, brał nogi za pas i wyjeżdżał do jakiego krajowego kurortu alibo i całkiem do Biaritz, Szarm el Szeik czy Baden Baden, byleby tylko smrodliwym powietrzem Twierdzy nie oddychać. A najwięcej do Londynium tanimi końmi wyjechało, bo

choć w tamtejszych krajach po chrześcijańsku porozumieć się nie było można, to i nawet na migi człowiek pod wejściem do metra żebrzący jakoś wyżywić się wydził.

Aby przed zapytaniem narodem jakąś perspektywę wspaniałą otworzyć, samą rozkosz w pigułce mu ukazując, przemianowano Twierdzę Starogrodzką na Nowogrodzką, albowiem do wspieraczy i popleczników Ojca Narodu dotarło, że skoro go w mediach od dłuższego czasu czemuś nie widać i nijakich jasełek ostatnio nie odprawuje, to należy go wiernemu ludowi ciut przypomnieć aby czasem grzesznie nie pomyślał, że już ma go z głowy i jego wielce mądrych przykazań wykonywać nie musi.

Na szczęście można było kukiełkę udatnie w wysokie obcasiki przybraną przed mikrofonem postawić i puścić z taśmy cudny zlepek co najwspanialszych inwektyw by nikt ze spektatorów jakiejś różnicy nie dostrzegł, wszelako trzeba było przy tym dać przyszłym wiekom należyłą pożywkę, a to najłatwiej było uczynić miano „Nowogrodzka” we wdzięcznej pamięci utrwalając. No bo o ileż to dostojności a powagi przydaje, gdy Prawdziwy Ociec nie z przypadkowego sejmu ani z innej brudnej dziury uczenie przemawia, lecz z siedziby własnej przepięknej, do której nijaki profan ani w ogóle nikt prócz niego dostępu nie godzien.

Należało więc Twierdzę odremontować, aby nikt nie pomyślał przypadkiem, że Nowogrodzka w czymkolwiek Starogrodzką przypomina, jako że gdy się front wojny ze społecznością co niedzielę o sto osiemdziesiąt stopni zmienia, raz narodowi twarz, a raz rzyć ukazując, to i miejsce tej zmiany słusznie odmienione być musi.

Odnowiono tedy przede wszystkim gabinet tronowy nową, niższą o dwa łokcie mówniczkę wstawiając, szarością elegancką przecudnie barwioną i mikrofonki nowiutkie, bardzo udatne montując, aby upudrowanego oblicza w poprzek nie zasłaniały. Pod nią zasię schodeczki nowe, na miarę niskie uczyniono, iżby za mówniczką postać jako na ołtarzu była widoczna, a z tyłu napisik dano, rzymską majuskułą z plastiku cudnie odlany, iżby obskurną ścianę co nieco przyozdobił.

I byłby wspaniale, gdyby nie kazus jeden ze wszech miar nieoczekiwany, a wielce sprawie całej w poprzek stający, raptem gro mem z nagła nie uderzył.

Oto pacholek jeden, znikomą funkcję młodszego pomocnika stróża nocnego pełniący, w lochu przepastnym, gdzie światłość doczesną kombinerkami naprawiał, natknął się był na leżące tam szczątki w całunie poświęcanym, złotą nitką przetykanym i cofnął się w przerażeniu, jakby od Majka Tajsona z nagła w sprośną mordę dostał.

Aniołowie, co na prośbę arcybiskupa onych resztek strzegli, dla pewności, przynajmniej dopóty, dopóki się sprawa identyfikacji nie wyjaśni, pospali się, widać winem mszalnym dubeltowo spirytusowanym z lekka znużeni i bez to profan ten niegodny bez nijakich przeszkód dotarł tam, gdzie dotrzeć nie był powinien. Dotarłszy zasię raban okrutny zaraz podniósł bez powodu i nijak nie szło go uciszyć, chocia nawet minister pracy w gabinecie cieni lustracją dogłębną, bezrobociem, gąsiosem i dybami go straszyl, jeśli się skurkojad rychło nie zamknie.

Jak było do przewidzenia wieść się rozniosła, nie było tedy wyjścia i zadzwoniono sygnaturką do komendy halabardniczych pachołków miejskich przy ratuszu i do prokuraturii kasztelańskiej udając, że to znalezisko całkiem nowe, nikomu dotąd niewiadome i diabeł jeden Tuskiem zwany wie, do kogo należące, a sam Jedyny Prawdziwy Oćiec Narodu właśnie na zasłużonym urlopie nie wiadomo gdzie przebywa, bo ostatnim przenajśluszniejszym gęby strzępieniem utrudzon jest srodze, więc niepokoić go nie należy. Nie dodano wszelako przy tym oczywiście, że uczony spicz, którego przed kamerami niedawno dokonać raczył, był jeno miksturą przemysłnie z przecudnych pomysłów swoich i cudzych uczynioną, ale przecie wszystkich za własne uznanych, bardzo udatnie nagrąną i puszczoną maluczkiem na uciechę.

Zadzwoniono tedy jako należy i wezwano halabardników grodowych wedle zapisu magdeburckiego prawa, ale licząc że przybędą, okiem rzucą i nie chcąc w siedzibie Ołca Narodu halabardzkiej reputacji narażać ani się komu przeciwzić, ustalą posłusznie co im nakazane zostanie i precz pójdą sprawę swemu biegowi zostawiwszy.

Dla pewności, aby uwagę wócibskiego narodu od tej głupiej sytuacji nieco odwrócić, wystąpiono więc co najrychlej z doniesieniem do prokuratorii o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez panującego, hetmanów służb tajnych, wszystkich ksiąząt urzędy nieudolnie pełniących, sędziów, a nawet kata z pomocnikami, bo nie spalili w czas na stosie w dziecięctwie czarownicy jednej, a teraz, gdy urosła, to ani chybi teoretycznie może z diabłem wejść w konszachty, i choć jak na razie dowodów na to nijakich nie ma, to nic nie szkodzi, bo profilaktycznie działać należy i pokutę odprawować zanim grzech nastąpi.

Mają się tedy wszyscy oni zbrodniowie co rychlej ze wstydu powiesić albo podać do dymisji, bo nie może tak być, aby ewentualne prawdopodobieństwo wydumanej winy w demokratycznym państwie pozostało bez realnej kary, a winni nie zostali przykładnie na rynku w spiżowym wole upieczeni.

Palatyn Antek z Macierzy wystąpił nawet w sejmie i wszystkich Prawdziwemu Ołcu czemuś niechętnych przystojnie opluł

związkiem mafijnym przenajstuszniej nazywając, wszelako po nich spłynęło to jako siuśki paralytyka po szpitalnej kaczce, śmiech jeno niewczesny wywołując i wołanie o jakowego egzorcystę z bejsbolowym kropidłem.

Wszelako podskarbi książęcy, uczony Jacek z Rostowy pomysł Ojca Narodu na dukaty przeliczył i wyszło mu, że władca rychło dno skrzyni by ujrzał gdyby chcieć tak obficie jałmużnę rozdawać przychodu nijakego z nikąd nie mając.

Na to obruszyli się conajwięksi z Nowogrodzkiej Ojca wspieracze i kukielce jego wielce przedni pomysł w gębę włożyli, żeby wszyscy ekonomowie w księstwie żyjący zleźli się z pielgrzymką w sam dzień świętego Kombiniusza i zgodnym chórem podskarbiemu słuszny odpór dali uznając, że oże jeno politycznie inspirowaną ciemnotę narodowi wciska, bo dukatów jest jak lodu, jeno nie ci je mają, którzy wedle Ojca mieć powinni.

Spór się tedy jął toczyć i przepychanica wielka, inwektywą jadowitą najeżona, a zewłok w piwnicy nowogrodzkiej leżący na poczesne śledztwo dalej czekał.

Komenda halabardników grodowych doniesienie o znalezieniu szczątków przyjęła, bo nic innego uczynić nie mogła, choć miejsce, gdzie je odkryto, skłaniało do zastosowania daleko idącej ostrożności, wszystko bowiem w tej Twierdzy było możliwe, od zaklę-

czenia się delikwenta na śmierć podczas rekolekcji począwszy, na zagryzieniu odszczepieńca za obrazę majestatu skończywszy. Hutmani halabardnicy tedy po rozum do głowy poszli i umyślii conajbardziej, że najlepiej będzie gdy śledzeniem zamorski oficyjer się zajmie, bo on ci jest na wszelkie cuda i jasełka mniej podatny niżli jaki miejscowy, co by go rychło pierwszy z brzegu biskup nawrócił.

I tak na niejakiego komisariusza O'Mletta padło, którego z dalekich krain dwa roku temu do grodu przybył, pióropusz z piór orlich wstępami umajony zrzucił, tomahawk wyszczerbiony do torby schował sarmacką maczugą gwoździami nabijaną go zastępując, mowy chrześcijańskiej nieco poduczył i, piwa a miodu nie nadużywszy, od biedy wyrozumieć go było można.

A miał ci on przystawa sobie przydanego, niejakiego Jana z Zapiecka „Charujem” zwanego, aspiranta wielce udatnego, którego także w dziele śledczym był nie od macochy, a wszelką miejscowych umysłową przypadłość lepiej kojarzył.

Przykazanie od nadhutmana Przeciąga przystojnie odebrawszy siedli tedy do kolebki sześćdziesięciokonnej, olejem ziemnym futrowanej, turbowtryski mającej oraz lejce ze wspomaganiem i do Twierdzy Nowogrodzkiej co najrychlej podążyli.

Tamże, choć godzinę na rogu rozgłośnie trąbili, przed bramami czekać im kazano zanim kto rozkazywać władny most opuścić

każe, a przez ten czas lustrowano ich perspektywą radarową na miedzymurzu stojących, czy aby bomby jakiej arabskiej albo ulotek sprośnych o eutanazji i aborcji w jukach nie wniosą. A stwierdziwszy, że nie śmierdzą trotylem, senteksem, saletrą amonową ani jaką bezbożną propagandą, na użytek przypadkowej władzy rozsiewaną, dopuszczono ich w końcu za wrota i te za nimi na siedem skobli z hukiem zamkniono.

Z daleka, przez piwniczną kratę zewłok na żyrandol nadziany, w całunie brudnym obejrzawszy, przystąpił O'Mlett do burgrabiego zamkowego, co im pogardliwie kciukiem drogę wskazywał, układowie prosząc o jakie sprawy całej przybliżenie.

– Hu is dys body, co my oglądali? – Zapytał grzecznie nad wyraz.

– Wyrażaj że się, zamorski knechcie, przystojniej, bo nijakiego huisa tu nie ma, jeno czestny zewłok bohatersko poległy, co widome, skoro go ciągiem anieli strzegą! – Z oburzeniem odrzekł burgrabia Adamek z Hofmanicy.

– Komisarius jeno pyta, zali wiecie, poczesny panie, kto on? – Wyjaśnił Charuj.

– Gdy wielebni ustalą, wiedzieć będziem. – Z powagą, acz niechętnie mruknął burbrabia.

– To skąd wiecie, że on czestny i bohatersko poległy, skoro jeszcze nie ustalili?

– Bowiem inszych tu nie masz między nami. – Wzgardliwie odrzekł pan z Hofmanicy.

– Jest li on od was, to czemu nie wiecie, jako się zowie?

– Nie wam, pachotkom podłym, takie sprawy wiedzieć! Wy jeno pergamin wystawić macie, żeście byli, widzieli i wszystko tutki wedle prawa uczynione zostało. Piszcie tedy, co wam nakazuję i idźcie precz, bo nic tu po was!

– Jeśli co pisać mamy, to wiedzieć przecie musim kto on jest i kwo modo żywota zbawion.

– Musicie, abo i nie musicie. Będzie wiadome, to się dopisze co trzeba. Nie po to was przysłano byście spierali się tu ze mną.

– Juści nie po to, ale wiedzieć musim, czy mord to, czy jeno kazu nieszczęśny.

– Nic wam do tego! Idźcie precz, mówię, bo was jąc każę za obrazę wartości chrześcijańskich i naruszenie miru domowego!

– Przecie sami żeście nas, panie, przyzwali, tedy jakie to naruszenie! – Z uśmiechem odparł Charuj.

– Wždy nie po to żem przyzwał, byś się tu, knechcie, szarogęsił i nieprzystojne zapytania dawał!

Widząc, że pytanie o co bądź więcej sensu nijakiego nie ma, O'Mlett trącił Charuja w ramię i zarządził krótko.

– Bykoz no kontakt, to my kam bek.

– A kogóż to bykożą nazywacie? – Obruszył się burgrabia, wietrząc jakąś inwektywę we wszystkim, czego nie rozumiał, bo chociaż czytać drukowane i przemawiać wielmi kwieciście umiał co najjadowitszych inwektyw przez szefa stosowanych na pamięć się wyuczywszy, to pozostał dalej tym, kim był i raniej.

Wrócili tedy O'Mlett z Charujem do komendy i nadhutmanowi Przeciągowi relację zdali, że jako żywo nic uczynić nie mogli ani co dostrzec należyście, a on westchnął jeno rozgłośnie, ale gęby na nich nie rozdarł, jako miał we zwyczaju bo w kontaktach z Prawdziwego Oćca dworakami doświadczenie miał znakomite w debatach telewizyjnych występując.

– Człek nie młoda klempa jest, aby po bagnie przepiecznie chodził. – Rzekł sentencjonalnie. – Skoroście jawnie nie wypatrzili, to jeno na rozum trzeba brać, cichcem zza krzaka jako jaźwca śledząc, i tego od was czekam. Bo choć ninie nic wam nie rzekli, to za niedzielę czy dwie raban ani chybi podniosą, że halabardia nic nie robi i książe pan wydział wewnętrzny na łeb nam spuści.

– Świadców nijakich przecie nie masz, bo twierdza zakluczona jako karczma w wielkim poście i nikt bez pozwolenstwa gęby nie roztworzy, bo każdemu łeb miły. – Smutno powiedział Charuj.

– Prawda jest, ale choć pacholek doczesną światłość naprawiający, co zewłoka w piwnicy naszedł, zniknął gdziesik przecudownie,

to ta białogłowa żywie, co w on czas w wygódce była zamkniona. Nie słyszeliśmy, aby ją kto cichcem uduślił, gdy za bramę wybieżała. Miała ci rozum u niewiasty, ale może co wie i nam rzeknie.

– Yes, ser. Tego szwiadka ułowim. – Zapewnił O’Mlett, który nie zwykł rezygnować z raz rozpoczętego śledztwa byle czym się kontentując.

Przybrali się więc obaj w szaty godziwe, choć niezbyt bogate, w kabat grafitowy i takąż gać mało wyprasowaną, aby ich lud za komorników alibo zgoła za polityków z peeselu nie wziął i jęli delikatnie po przysiółkach i podgrodziu pytać udając, że niewiastom łatwowiernym francuską, a w rzeczy samej kitajską maść na piegi sprzedają, bo w pamięci mieli, że białogłowa ona ruda jako marchewka i piegowata była jako indycze jaje i bez to do księcia Harrego wielce podobna.

Jakoż niezadługo naszli takową w przysiółku podgrodomym, jak na przyźbie zapłakana siedząc na tanim kalkulatorku parowym pracowicie liczyła, ile to na bezrobociu będąca na prawdziwych oócowych obietnicach zarobić może. I wychodziło jej, że jak biskupią lubo senatorską kurwą co najrychlej nie zostanie, to i ją i całą rodzinę przewidywany przez Oóca szlag trafi, a wszystko bez to, że ją z Twierdzy przez odszkodowania zwolnili za to, że niegodne plotki pewnikiem rozsiewać może.

Przysiedli się tedy do niej, tytuniem zamorskim, a może i kopnią jaką kolumborską poczęstowali i od słowa do słowa dowiedzieli się, że zamknięto ją prewencyjnie w wychodku by się po komnatach nieprzystojnie nie snuła, bo się ponoć ktoś wielce ważny powiesił, ale kto – tego nawet sama matka Teresa na spółkę z Lukrecją Bordzią w niebie nie dojdą, a tu na ziemi nijaki prokurator takóŜ, choćby nawet dubeltowo konsekrowan był prawo kanonczne z wyróżnieniem ukończywszy.

A Ŝe cyfrowa zasuwka w wygodce z lichej, kitajskiej elektroniki była uczyniona tedy kopniakiem dźwierze otworzywszy za bramę wypadła i ujsć zdołała nim ją óccowi inkwizytorzy dopadli. Ale i teraz, chocia ją na pysk z roboty niewinnie wyrzucono, dalej uważać musi, bo juŝ wieść się po somsiadach rozeszła, Ŝe to ona sztuczną mgłę w gabinecie tronowym proszkiem do prania rozsiała i wybuchowłą pastą do podłogi betonowy parkiet pokryła, bez co Prawdziwy Ociec Narodu być może niekontrolowanego poślizgu doznał, pod powałą z nagłą z samouwielbienia eksplo-dowawszy.

Pokiwał więc O'Mlett głową ze zrozumieniem, a i Charuj mu zawtórował losem niewiasty poruszony, wszelako do śledztwa nic nie wniosła ta opowieść, bo jak raniej nic nie wiedzieli, tak i ninie w tej materii głupi zostali.

Nie pozostało tedy nic, jeno szukać dalej kogo bardziej świadomego i w tym Charuj nadzieję miał, że się może znajdzie jaki odszczępieniec, co partię własną z wielkiej rozpaczcy założyć umyślił i status świadka koronnego uzyskawszy powie w końcu, kogóż to znaleziono na onym żyrandolu za ziobro wiszącego.

Byli już wprawdzie takowi, co Prawdziwego Oóca Narodu odstąpiwszy na własny wikt partyjny i opierunek poszli, ale raniej to było niżli on nieszczęsny kazus się wydarzył, tedy żadna z ich relacji korzyść wyniknąć nie mogła. A tym bardziej, że we łbach pokręcone mając ni to chcieli, ni to nie chcieli Oócu się przeciwzić, bez pletli przed kamerą co im jeno z lekka jadowita ślina na język przyniesie, a prawdy w tym było tyle, co tego brudu za paznokciem.

Nawet sam wszelkiego przekrętu świadomy Zbyszko z Ziebrzańca w tej materii złamanego słowa by nie rzekł, chocia znany był z tego, że mówił wielce pospiesznie i długimi seriami jako muszkiet maszynowy Diektiariewa i raz założonej taśmy nikto przerwać mu nijak nie wydolił dopóki amunicyja mu nie wyszła alibo tchu za brakło.

Przeciwnie zasię nadobna Wanna z Framugów, która Oóca Narodu, z przewrotnej, niewieściej amicycji alibo dla jakiej zwodnej korzyści, porzucić nie chciała, też glosu nijakiego z siebie nie wyda, a gdyby słowo jakie rzekła, to na drugie pół pacierza z wolna od-

mawianego czekać by przyszło. Znikła zresztą ostatnio jako sen jaki złoty, więc może gdzie ambasadora udawała albo first lejdi na zakupy do Harodsa wysłaną, w każdym razie nijak się było czegokolwiek po niej spodziewać.

Tak więc o świadka koronnego niełatwo było i łacniej by żółt kulawy z bahmatem tatarskim gonitwę na stepie wygrał niżliby się takowego spod oćcowych skrzydeł wyrwać dało, chyba że sie jaki z przypadku nawinie, co konceptowi własnemu, nieudolnemu zawierzywszy niezmierną Oćca mądrością pogardzi i samodzielnie myśleć zacznie zwodną tłustość posady odrzuciwszy.

Myślał przeto Charuj i myślał, aż rzekł do O'Mletta.

– Wiesz co, panie bracie? Taki mi oto koncept do głowy przychodzi, że Janosik niejaki, co wszystkim bogatym zabierał, a poniektórym biednym pono chciał dawać, za poślednie ziobro na haku powieszony został, bez co bohaterem narodowym go uznano.

– Jakiego tedy ty widzisz wynika z tego konsepta? – Spytał O'Mlett.

– A no takiego, że skoro Ociec Narodu takoz zamyślił możnym zabrać, a ubogim nie całkiem, abo i nic nie dać, to do wieczystej sławy jeno tego mu potrza, by honorowie za ziobro na haku wisieć.

– Ten Janoszyk to prins jaki bił or ważny kongresmen?

– Zaś by! Zbój górski z niego był, po gościńcach rabował kogo popadnie, za to go za zioebro powiesili.

– I naszional fater.. znaći najważniejsi oczec z onego psikłada by brał?

– Noo! Bo ochotę niepomierną żywi, żeby takóž wielmi sławnym ostać.

– Imposibił! Taky operejszyn wiszenia za zioebro yt is barso duży pein! Kto jego na to skazywa? To juś lepsi elektrik armczer!

– Nikto go na takową kaźń nie skazywał, on to, jako dumam, z własnej inicjatywy uczynił, aby w pamięci ludzkiej ostać i bohaterem być jako ten Janosik, co chocia w rzeczy samej bez trzy roki zwykłym zbójem był, to ninie baśnie o nim piszą.

– Charuj! Ty krejzi! Jaki prins i piersi myślnik in dy houmland za zioebro by sze wieśniał?

– Ja zem krejzi? Bez to, że wynijścia z onej tajemnicy poszukiwam?

– Dyc!

– Ja więc zem krejzi i na rozumie poszkodowan? A onego pomysłunki przecudne, ponoć królestwo naprawiające, to nie krejzi?

O'Mlettowi widno Charujowa koncepcja, zeby kto z własnej woli dla poszanowania w narodzie na haku się wieszal, niezbyt do serca przypadła, bo jeno ramionami wzruszył.

– Nou! – Odrzekł krótko. – Takie poulitiki nie ma in dy uord.
– Może na świecie takowych nie masz, ale u nas są. – Z uporem stwierdził Charuj.

– A lasiego?

– Bo jak kto samemu sobie i setce ludzi w maszynie latającej wcześniejszy żywot wieczny dawa pilotów zniewalając jeno po to, by z uporem wielkim racji swojej dowieść, to jak myślenie owo nazwiesz?

– Ale przecie nie prawdziwy oczec to uczynił. – Zaoponował O'Mlett.

– Juści nie ta jego większa połowa, co w twierdzy zamkniona siedzi, jeno ta druga, a skoro tak, to czemużby ta pierwsza nie miała się jednako z tą drugą, mniejszą, myśląc za ziobro na żyrandolu powiesić?

Komisarz O'Mlett zamilkł koncepcyją pokrętną Charuja z lekka porażony, wszelako przyznać musiał, że towarzysz jego nie we wszystkim pobłądził, bo logika jakowaś z tego wynika, chocia może i chroma, ale czytelna.

Wszelako nie czas był się nad tym rozwodzić, bo z twierdzy elektroniką wspomagana wieść nadeszła, w obraz bardzo wspaśniały przybrana. Oto w Twierdzy za mówniczką kukiełkę postawiono, wielmi Prawdziwemu Oćcu podobną, która gębulą ślicznie

ruszała i paluszkami jako serdelki wiszącymi po czarnym kabaciku przebijając powiadomiła naród wierny, że niedola jego jeno do końca septembra trwać będzie. Wtedy to bowiem on, jako Ociec i zbawca, księcia nowego z łaski swej ludowi ukaże, którego profesorem jest wszechnauk tak pełnym, że aż uszami mu nadmiar wiedzy z lekka wyłazi i nie masz w świecie drugiego, co by mu dorównał. On ci wie najlepiej skąd kryzys przyjdzie i jak mu skłóceniem nas z resztą świata tamę postawić, a choćby i kometa jaka z nieba z nagłą uderzyła, to też jednym dmuchnięciem precz ją przegoni lepiej, niżli zamorskie „patrioty”.

Począł się tedy dyskurs powszechny, kto też by mógł być tym profesorem, bo różni politykowie znanych im w piśmie uczonych pod uwagę brali, ale o tak wspomniałym jeszcze nikt nie słyszał. Jedni więc mniemali, że to może Merln królowi Arturowi z Kamelotu uciekł i u nas o azyl poprosił, bo tu o wszelkie cuda łatwiej. Druzy byli zdania, że Sokrates ożył, bo mu zleżała cykuta nie zaszkodziła i w Toruniu filozofię patologiczną wyklada, inni zaś wręcz twierdzili, że to Kopernikus na powrót uznał, że to słońce wokół Prawdziwego Ojca się kręci i bez to do chwalców przybocznych łaskawie został zaliczony.

Ale byli i tacy, co całkiem realne wiedli przypuszczenia, że to profesor Baltazar Gąbka łowienie latających żab na służbę nielot-

nym kaczkom chwilowo zamienił, albo że to profesor Filutek porzucił Kraków, bo od pewnego czasu na Wawel bez mdłości patrzeć nie może, ale inni nie bez racji mniemali, że skoro tak, to raczej nie tutaj, a do Gdańska przenieść się powinien.

Wszakże największą tajemnicę stanowi, jak onże supermądry profesor ma być bezpartyjny, skoro w Twierdzy Nowogrodzkiej u Prawdziwego Oćca nawet sprzątaczkę i pisuarek muszą być partyjne, aby czasem z jakich pozostałości po naradach fałszywych wniosków nie wyciągnęły, reżimowym bowiem służbom specjalnym i dziennikarstwu wszelkiemu przebrzydłemu, ledwie polskojęzycznemu w swym zaprzaństwie nawet zużyty papier toaletowy wielce smakowite informacje dać może.

Skoro więc wedle zapowiedzi w końcu września zamiana na stolcu ma być wszem i wobec ogłoszona, to ani chybi w październiku jakowaś rewolucja nastąpi, którą wdzięczny naród pewnikiem „Rewolucją Pierdzielnikową” nazwie, aby zaś tradycji stało się zadość.

Jedyna nadzieja w tym, że jako twierdzą niektórzy doktorowie w psychiatrii bardziej obeznani, jeszcze się taki profesor nie narodził, tedy narodowi dłużej nieco poczekać przyjdzie, aż Prawdziwy Oćciec z łędźwi swych dostojnych takowego osobiście spłodzi, chyba że sam do tego czasu jako interreks zastąpić go zamierza.

Wątpią wszelako niedowiarłkowie różni jak w takim razie to uczyni, aby partii przewodząc jednocześnie być bezpartyjnym, ale nie takie trudności Prawdziwy Ociec zwykł pokonywać bez nijakiego na logice uszczerbku, tedy bez ochyby i temu podola.

Gdy rozważał O'Mlett to wszystko w sercu, a w sumieniu swoim, pomruk jakowyś przydługawy do ucha mu dotarł, a pod przymkniętą powieką błysk światłości z nagłą się ukazał rozumieniu rzeczy, jako szydłem w rzyć wbitym, impuls dając.

Oto dotarła doń z głębi niewiedzy myśl absurdalna, że może Prawdziwy Ociec zamierzył osobiście spaloną żarówkę wymienić i stąd on nieszczęsny kazus powstał, że pośliznąwszy się na oparciu tronu ziobrem na żyrandol nadział.

Wszelako w następnym ułamku sekundy odrzucił komisarz te nieprzystojne urojenia do halabardzkiej logiki powróciwszy, albowiem łącniej by papeż mahometaninem został niżby Prawdziwy Ociec własną dłonią żarówkę zmieniał drogocenne dla narodu jestestwo swoje na jakowy szwank wystawiając.

Aż tu nagle burza nocna z nowogrodzkiej strony nad uśpiony gród raptem nadeszła i piorun wałnął w drzewo na środku parkingu stojące z hukiem tak wielkim, że O'Mlett jako szczuka z wody wyjęta rzucił się na tapczanie i zerwał na równe nogi, z nagłą się obudziwszy.

Długa minuta upłynęła zanim dotarło do niego, że wszystko co widział i przeżył tylko było snem, a ciężkim i męczącym, bo poprzedniego dnia obzał się i opił na imieninach u Charuja, a jego amerykański żołądek widać słabo tolerował normalną, wschodnioeuropejską gościnność.

Dochodziła szósta, więc nie było sensu kłaść się ponownie. Ogolił się, ubrał, kubek kawy wypił i pojawił się w komendzie.

– Coś ty taki zielony? – Spytał go Charuj na powitanie. – Zaszko-dziło ci coś?

– Nou, ale drim miałem taky, że wrogu nie żićę, a potem jeście tempest barso duży in dy najt...

– No, lało jak wół do karety. A co ci się śniło? Pamiętasz?

– Siur. Sznyło mi sze, że ktoś na Nowogrodzka powesił sze za ziobro na żirandolu.

– He he he, rzeczywiście makabra! No i co dalej?

– No i nam kazali wyszledziać kto on i lasiego.

– A sam się powiesił za to ziobro, czy go powiesili? – Widać Charuj bardziej był zainteresowany nietypowym snem niż stanem zdrowia kolegi.

– A kolera go wi. W jakiś selar... znaci pywnisa go ćimali! I to biło old tajm! Dużo wieki, ludzie mówia tak dziwno i ja teś.

– W średniowieczu we śnie byłeś? To rzeczywiście musiało ci coś jednak wczoraj zaszkodzić, może te grzybki marynowane, bo w Ameryce tego nie macie, to nie jesteście przyzwyczajony do takiej zagrychy. – Aspirant zaniepokoił się nie na żarty. – Ale grzybki były kupne, z atestem, więc nie ma mowy o żadnym sromotniku. A nie mdli cię i głowa cię nie boli?

– Gźipki barso dobry. Żadny zaśkodzić, nic nie boli. A ten drim najgorsi, bo nie było żadne szwiadki ani autopsy, tylko biskup i anioły!

– O rany Julek! Nawet aniołowie ci się śnili? To kto to mógł być, ten co wisiał? Może nie za żebro, a jakoś inaczej? Doszliśmy w końcu kto to, czy nie?

– Nie došli my, bo sze obudziłem. Wychodziło na to, że to prawdziwy otec naroda albo kto barso podobny

– Sobowtór? Ale czyj? Jak to było średniowiecze w tym twoim śnie, to chyba króla? I czemu akurat na Nowogrodzkiej?

– Aj dont nou. Ale ty, on maj drim, mówieś, że on wiśa za zio-bro jak jaky Janoszyk.

– Kurczę! Ale zagadka! Strasznie musiało ci coś na żołądku leżeć, że ci się takie koszmary śniły. Przecież bigosu tylko trochę zjadłeś, a szkoda, bo dobry był. Nie mówieś, żeby ci coś dolegało.

– Moja żółądka no problem, bigosa biutiful, a ten ociec naroda był from opozejszyn, not kings.

– A skąd wiesz? – Zainteresował się aspirant.

– Bo on był in tu persons. Jedna pół, co wiśi na żirandola, ona ważniejsia, a druga pół mniej ważniejsia. On wsistko może! No a king jest w jedna osoba, a nie w dwa i niedużo może! Ja wim, że to krejzi, ale in dy drim wsistko możliwe.

– I tak dokładnie ci się śniło, że on najważniejszy i wszystko może?

– Yes, i że oł pipł go słucha.

– Stary! To ja już chyba wiem, kto ci się śnił. Nie bigos i nie grzybki ci zaszkodziły tylko sytuacja polityczna, bo żyjesz robotą i nie potrafisz się odprężyć. He he he. jak dalej będziesz miał takie prorocze sny, to cię jeszcze komenda zatrudni po godzinach w charakterze medium. Będziesz mógł spać całymi dniami i tylko od czasu do czasu meldować, co ci się przyśniło. Właściwie to od czasu jak wykryliśmy tę aferę z żoną Popiela to nie mieliśmy żadnej sprawy. Żyć, nie umierać!

Wszelako los nie okazał się dla nich aż tak łaskawy, bo już następnego dnia wezwał ich podinspektor Przeciąg i postawił przed nimi nowe zadanie

– Wiecie, rozumiecie, panowie – powiedział na wstępie nie owijając w bawełnę – nie ma lekko, znaczy, jak to się kolokwialnie mówi, jak nie urok to, znaczy panie tego, wiecie rozumiecie, mamy orzech do zgryzienia. Dlatego jest potrzeba, żeby panie tego z czuciem, ale zdecydowanie, bo to nie czas ani miejsce, ale tak już jest w naszej, znaczy, panie tego robocie. No to jak? Dacie radę, prawda?

– Ale co? – Niepewnie spytał Charuj.

– Jak to co? To ja nie powiedziałem? Aha, możliwe. No to w siedzibie na Nowogrodzkiej zwłoki, znaczy się, znaleziono. Wiszące, znaczy, panie tego. Na wieszaku. Ekipę już posłałem, tylko trzeba operacyjnie, znaczy panie tego, wiecie, rozumiecie, kto, dlaczego i tak dalej. Jest wstępna sugestia, że to nieszczęśliwy wypadek, a może nawet i samobójstwo, że tak powiem, wiecie, rozumiecie, pod wpływem, no to byłoby najlepiej, bo jak nie daj Boże nie, to sami wiecie! No to życzę powodzenia!

– A nie mówiłem, że możesz robić za wróżkę! – Powiedział lekko rozłoszczony Charuj do O’Mletta gdy wyszli z gabinetu podinspektora. – Zebrało ci się na prorocze sny, to teraz masz za swoje!

Cóż było robić, rozkaz to rozkaz. Deszcz siąpił beznadziejnie z całkiem szarego nieba, więc wsiedli w swoją zdezelowaną tojetę i pojechali.

Na miejscu zdarzenia przyjęto ich ze zrozumiałą ostrożnością, dokładnie wylegitymowano i nie odpowiadano na najprostsze pytania, odsyłając ze wszystkim do rzecznika, co było zdaniem Charuja w tym środowisku całkowicie normalne, a według O'Mletta z lekka podejrzane.

Pojawił się również prokurator, który przyglądał się milcząco całej procedurze, ale miał rozbiegane oczy i widać było, że nie dostał żadnych dyrektyw jak ma w tym przypadku postąpić, a sam nie mógł się zdecydować na podjęcie logicznej decyzji nie będąc pewnym, czy ktoś go nie wpędza w jakąś piętrową prowokację. W końcu nie można było się temu dziwić, bo stąpał chłopina po niezwykle kruchym lodzie i cholera wie, przyjęcie jakiej opcji byłoby przez gospodarzy bardziej akceptowalne, więc wołał zapewne dla pewności trzymać język za zębami.

Rzecznik, zgodnie z przyjętą w tej partii tradycyjną formą wypowiedzi na każdy temat, najpierw przez pięć minut wyjaśniał, że zakłamanym i nieudolnym rządem celowo robi co może, aby doprowadzić ojczyznę do kompletnego upadku, a dopiero później, w dwóch krótkich zdaniach przybliżył obecnym samo zdarzenie.

Oto w pobliżu siedziby przybył nieznany dotychczas nikomu przedstawiciel jakiegoś przeciwnego politycznie ugrupowania w celu zmiany barw klubowych, zapisania się do partii i wzmoc-

nienia jej swym mandatem w sejmie. Niestety nie przedstawił się, a gdy mimo to przygotowywano jego uroczyste posłuchanie, nagle zniknął ze strzeżonego miejsca oczekiwania na audiencję, a po mniej więcej godzinie intensywnych poszukiwań przypadkiem znaleziono go wiszącego za lewe żebro na wieszaku na płaszcze zainstalowanym w szatni obok dyżurki straży przybocznej.

W dalszym ciągu wiszące zwłoki odziane były w długi jesienny płaszc z postawionym kołnierzem, a na głowie miały kapelusz nasunięty na oczy i ciemne okulary, mimo że dzień był pochmurny.

Przybyły lekarz, który zbadał ofiarę nie zdejmując jej z wieszaka, nie miał wątpliwości, że delikwent nie żyje, a przyczyną jego śmierci najprawdopodobniej jest masywny krwotok, szok pourazowy i uduszenie z powodu przebiccia lewego płuca. Nie mógł wszakże bez wnikliwej sekcji jednoznacznie stwierdzić innych przesłanek zejścia, w tym szczególnie ingerencji osób trzecich.

Rzecznik natomiast był przekonany, że to niewątpliwe nieszczęśliwy wypadek i że zarówno policja jak i prokurator nie powinni mieć co do tego wątpliwości, a gdyby takie się pojawiły, to byłaby to szeroko zakrojona prowokacja rządowa w zemście za spadające słupki rankingu popularności, czyli zwyczajne, bezcelne kłamstwo głoszone w celu oszukania opinii społecznej.

Prokurator w końcu otworzył usta i pozwolił zabrać ciało, a O'Mlett przed tem sięgnął do kieszeni ofiary i znalazł tam dokumenty osobiste, telefon komórkowy, portfel z dwiema kartami kredytowymi i 18 złotych w gotówce. Z drugiej kieszeni komisarz wyjął kluczyk do samochodu z breloczkiem BMW, ale sam kluczyk nie miał wytłoczonego numeru seryjnego, więc mógł być podrobiony albo pochodził wcale nie z BMW, a breloczek dodano jedynie dla szpanu.

W tym kontekście zastanawiający był brak wśród zawartości portfela prawa jazdy, polisy OC i dowodu rejestracyjnego samochodu, bo trudno było przypuścić aby denat wybierał się w podróż bez tych trzech podstawowych dokumentów, jak również mało prawdopodobne aby zostawił je w samochodowym schowku ułatwiają życie ewentualnemu złodziejowi.

Zdziwiło to trochę policjantów, że nikt z obecnych nie zainteresował się dotychczas tożsamością ofiary, ale zrzucili to na karb ostrożności w zachowaniu wszelkich śladów, więc powstrzymali się od jakichkolwiek uwag.

– A jego samochód gdzie stoi? – Spytał tylko Charuj wskazując na kluczyki.

– Nie mamy pojęcia. – Rzecznik lekceważąco wzruszył ramionami.

Z dowodu osobistego wynikało, że denatem jest pięćdziesięcioletni niejaki Zenon Wyskrobek, zamieszkały w Kaczym Dole, prawdopodobnie emeryt lub rencista, o czym świadczyła zielona legitymacja ZUS.

– To znaci, pane źecniku, że pan nie wi, kto on? – Spytał O’Mlett, nie pokazując wszakże rzecznikowi dokumentów ofiary.

– Nie mam pojęcia! Do nas codziennie setkami zgłaszają się politycy, posłowie i senatorowie z partii koalicyjnych deklarujący przejście w nasze szeregi! Od nich ucieka kto tylko może bo tylko my reprezentujemy prawdziwe wartości!

– I co? Przyjmujecie ich? – Spytał Charuj z lekkim półuśmiechem.

– Skądże! – Obruszył się zbulwersowany rzecznik. – Zdecydowanie odrzucamy te nędzne prowokacje! Nie zależy nam na przyjmowaniu osobników niemoralnych i notorycznie zaprzędanych zbrodniczemu reżimowi!

– Ale denatowi mimo to szykowaliście uroczyste postuchanie nawet nie wiedząc, kim rzeczywiście jest?

– No cóż, z panem też bardzo grzecznie rozmawiam, choć reprezentuje pan skorumpowane siły idące na pasku nieudolnego rządu i przypadkowego prezydenta, a tak na prawdę to też nie wiem, kim pan rzeczywiście jest! – Jadowicie odparł rzecznik.

– A ci ten ofiar mówił, że on chce do was psistawać? – Zainteresował się O’Mlett.

– Nic nie mówił, ale z samego faktu jego przybycia niedwuznacznie wynikało, że... A zresztą co to za tendencyjne pytania? Ja sobie wypraszam taką ubecką indagację! To jest bezprzykładne najście i pogwałcenie demokratycznych zasad!

– No dobrze niczego nie zamierzamy gwałcić. Z tego, co pan powiedział, to wynika, że przyszedł do was nieznany wam człowiek, nawet nie zapytaliście go po co przyszedł ani jak się nazywa, kazaliście mu czekać na uroczyste posłuchanie, on gdzieś zniknął, a po godzinie znaleźliście go wiszącego na wieszaku? Czy tak?

Rzecznik o mało nie dostał apopleksji. – Pan manipuluje faktami! – Zaryczał – Ja niczego takiego nie mówiłem! To wasz typowy, ubecki wymysł! To polityczna prowokacja! My złożymy doniesienie o popełnieniu przez was ohydneho przestępstwa ciężkiego naruszenia godności osobistej i zażądamy powołania sejmowej komisji śledczej, która unaoczni narodowi wasze kłamstwa!

– Nie musi pan adresata swoich doniesień daleko szukać, prokurator stoi metr od pana i na pewno wszystko dobrze słyszy. – Warknął Charuj.

Rzecznik zamilkł na chwilę, bo zorientował się, że typowa partyjna formułka, jaką przed sekundą wygłosił, w tym przypadku pasuje do sytuacji jak pięść do oka, a prokurator rozejrzał się dokoła szukając panicznie jakiejś mysiej dziury, w którą mógłby się ewentualnie schować.

Ciało denata w mokrym płaszczu i kapeluszu pojechało na sądówkę, ekipa bezskutecznie starała się zebrać jakieś ślady i przy okazji zauważono ze zdziwieniem, że wszystkie metalowe, bogato złożone haki służące do wieszania okryć były ostro zakończone. a kapelusza ofiara czemuś nie zdjęła z głowy.

Kątem oka obserwując te czynności O'Mlett z Charujem usiłowali przysłuchać ośmiu rosnących, przynajmniej dwumetrowych ochroniarzy, którzy wcześniej zapewne najpierw przyjęli niespodziewanego gościa, a później znaleźli go na wieszaku.

Przysłuchanie jednak okazało się nie tyle bezskuteczne, co w ogóle niemożliwe. Na wszystkie zadawane im pytania odpowiadał wyłącznie rzecznik, nie pozwalając im dojść do głosu i nie sposób było go uciszyć. Odpowiedź na każde pytanie zawierała wstęp o treści informującej, że rząd nic nie robi i wszystkim winien jest premier, a później następowały różne niedomówienia oraz inwektywy rzucane mimochodem pod adresem różnych osób i formułka, że nie ma w tej sprawie nic do dodania.

Sami zaś ochroniarze patrzyli na policjantów nieruchomymi talerzykami ciemnych okularów i milczeli jak zakłęci trzymając wymownie prawe dłonie pod lewą pachą.

Po dziesięciu minutach bezsutecznych usiłowań O'Mlett odstąpił od przesłuchania.

– Let gou. – Powiedział do Charuja. – Szkoda naszego czasu.

Gdy opuścili już miejsce zdarzenia i wracali do komendy, komisarz postanowił podzielić się z aspirantem swoimi wątpliwościami.

– Wieś co? – Powiedział do Charuja. – Mi sze widawa, że ten ofiar to żadna pośła, co zменя stendpoint, a jaki men z psipadka.

– Ja też tak sądzę. – Odparł zapytany. – To, że poślowie z innych partii stadami pchają się się do nich, co nam usiłował wmówić ten rzecznik, to przecież bajka! To właśnie od nich uciekają ludzie i tworzą własne frakcje, a zostają tylko oszołomy i zakapioiry, które nie zaczepią się nigdzie indziej, a na razie im się jeszcze opłaca.

– No to cieba, żeby poullis zawiadamia family temu denatu. Gdzie on mieśkuje?

– Według dowodu w Kaczym Dole, to nie daleko. Inna sprawa, że sen to ty, bracie, miałeś toczka w toczkę proroczy! Najgorsze, że w twoim śnie nie wykryliśmy sprawy.

– Bludy... żeby ja wiedział, to ja by normalno na twoje ymynyny pił do rana, a nie chodził do doma tu slip. Teraz to ja sze bojam położyć.

– He he he. A może odwrotnie będzie? Może teraz ci się dośni, kim był ten na żyrandolu, co go anioły i orły strzegły? I będziemy mieli obydwie sprawy rozwiązane za jednym zamachem. Musiałeś się tak raptem budzić? Nie mogłeś jeszcze trochę pospać?

– Tanderboul, znać ten...no...

– Piorun?

– Yes. Ściela do parking i mię obudzał. A lasiego ty mówisz, że orły? Tego zwłoka we sznie ścięły only anioły.

– Pokręciło mi się z tą ochroną z powietrza, bo był taki święty biskup w jedenastym wieku, co go sąd królewski z wyroku za zdradę poćwiartować kazał i tego trupa orły strzegły, żeby go kruki nie rozwlokły, bo by się nie mógł cudownie zrosnąć. I stąd chlapnąłem o orłach, bo tak o tym napisał jeden kronikarz, biskup Kadłubek mianowicie, zresztą, na marginesie, też błogosławiony.

– Aj si, że u was od barso stare wieki zawsze była er protekszyn, jak nie jekie orły ci anioły, to archandžel na wozie ognistym, cili take szredniowečne F-16.

– Pewnie, nie żałujemy sobie, szczególnie na ochronie świętych. Za takim panem prezesem na przykład bez przerwy paru lu-

dzi łązi z bronią półautomatyczną, mimo że nic mu nie grozi. Ot, taka tradycja, że świętego muszą strzec orły, chociaż dotychczas nie słyshałem, żeby go coś ochraniało z powietrza. Może jakiś bezzałogowiec czy inny dron ewentualnie. Ale wracając do tematu, to szkoda, że nie pospałeś dłużej poprzedniej nocy. No to teraz musimy ustalić, kim jest ten nasz nieboszczyk z wieszaka.

Operacja okazała się niezbyt trudna. Wystarczyło kilka telefonów i parę godzin czekania i już po południu było wiadomo, że Zenon Wyskrobek był samotnym rencistą, starym kawalerem mającym ciągoty do politykowania, ale bez określonego kierunku, czasami chodzącym na demonstracje, w dużym stopniu niedowidzącym i mieszkającym w jednoizbowym lokalu komunalnym w miejscowości Kaczy Dół. Bliższej rodziny podobno nie miał, a jedynie starą ciotkę przebywającą w jakimś domu opieki gdzieś na Pomorzu z uwagi na daleko posuniętą demencję.

Po rozmowie z sąsiadami ustalono, że od dwóch dni nikt go nie widział, mimo że zwykł przesiadywać na ławce pod sklepem spożywczym, gdzie co rano kupował mleko i pieczywo, a czasami piwo. Jedna z sąsiadek była zdania, że być może pojechał odwiedzić ciotkę, bo ponoć liczył po niej na jakiś spadek i w związku z tym, a może i ze zwykłej troski o bliską osobę, jeździł do niej dosyć często.

Gdzie ta ciotka przebywała, tego się niestety w tak krótkim czasie nie udało ustalić, ale ewentualnie można wszcząć poszukiwania jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Podczas pobieżnego przeszukania mieszkania denata nie znaleziono niczego odbiegającego od normy, jedynie tabliczkę na sznurku z napisem „pomścimy Smoleńsk”, przystosowaną widać do zawieszania na szyji, wykonaną wyraźnie w sposób fachowy, z trwałych materiałów i z drukowanym napisem, co wskazywało, że tabliczka nie jest jednorazowym produktem chałupniczym. Nikt z sąsiadów nie zauważył natomiast, aby pan Wyskrobek taką tabliczkę kiedykolwiek nosił, nawet podczas udziału w nabożeństwie z okazji miesięcznicy.

Mieszkanie zaplompowano do czasu podjęcia dalszych kroków przez wydział lokalowy. a urząd gminy rozpoczął żmudną walkę z myślami czy zlecić poszukiwanie zesklerociałej ciotki denata, czy też dać sobie spokój i pochować go na koszt miasta. W końcu postanowiono nie wychylać się i poczekać, aż jakieś władze z prokuratorem na czele powiedzą, co robić dalej, bo być może uda się wydawać żadnych pieniędzy.

Zdaniem O'Mletta i Charuja znalezienie tabliczki w niczym nie przybliżyło ich do ustalenia celu wizyty denata ani wyjaśnienia jego losu. W końcu dla nikogo nie było tajemnicą, że

największa i jedynie słuszna partia opozycyjna zaopatruje swoich zwolenników i w ogóle kogo się tylko da w materiały propagandowe.

– Każdy może sze mściwać, jak ma taky dizajer. – Krótko skwitował to komisarz.

– Ooo tak. Zwłaszcza że dwadzieścia pięć procent katolików, zgodnie z głoszoną etyką, właśnie tego sobie życzy. – Z przekonaniem potwierdził Charuj.

– A ty nie katolik?

– Jestem katolikiem z wychowania i tradycji rodzinnej i przestrzegam przykazania „nie mów fałszywego świadectwa”, czyli należę do tych pozostałych siedemdziesięciu procent, które u nas podobno stanowią tylko grzeszną mniejszość.

– Kujus regio, eius religio. – Stwierdził O’Mlett, nie wiadomo dlaczego po łacinie, bo dotychczas w tym języku cytował tylko sentencje prawne.

Tak więc definitywnie chyliła się ku upadkowi teoria rzecznika, że to jeden z licznego stada polityk koalicyjny usiłujący zmienić barwy klubowe, a umacniała się sugestia O’Mletta, że to zagubiony, przypadkowy obywatel, który z jakiegoś powodu znalazł się w złym miejscu o niewłaściwej porze.

– Bykoz on penszyner, znaci emeritur, to on nie kongresmen, on komon ćlowek, piersi z ulicy, to co on tam roby? Psychadza i co? – Retorycznie spytał O’Mlett.

– Pojęcia nie mam, też się nad tym zastanawiam. Sądząc po tej wywieszce na szyję to jakiś zwolennik pana prezesa. No, nie wiem, może z wizytą przyszedł?

– Wizit? I on kill jak jaky kryminal?

– W zasadzie masz rację. Miłego gościa nie powiesiliby za żebro jak Janosika, no bo przecież, mimo ewetualnych różnic światopoglądowych, byłby to zbyt drastyczny przejaw dezaprobaty! Obawiam się, że wyjaśnienie przebiegu wypadków będzie niezwykle trudne. – Charuj westchnął przewidując wyjątkowo strome schody.

– Każdy szledztwo na pociątek jest trudny. My mają for kueszczens: Kto ofiar, jak kill, psiez kto i lasiego i nam cieba saksesz na one odpowiadyać. – Pryncypialnie stwierdził O’Mlett.

– No to już wiemy kto i jak, teraz wystarczy tylko według ciebie wyjaśnić kto go powiesił i dlaczego, ale właśnie w tym cały szkopuł! Na świadków nie mamy co liczyć, bo każda próba wywoła burzę na dwanaście fajerek. Autopsja prawdopodobnie nic nie da, poza potwierdzeniem tego, co i tak już wiemy. Prokurator boi się samodzielnie odetchnąć, a poszlaki to możemy sobie zbierać po śmietnikach do usmarkanej śmierci! Musiałby się zdarzyć jakiś cud.

– Charuj, ty nie krakaj. – Komisarz widać podchodził do sprawy z większą wiarą w powodzenie mimo sceptycyzmu aspiranta. – My musimy naokoło, dżob top sikret, cieba siukać jaky ćłówek, co pracowa w rezidens.Ty rozumieś?

– Jasne. Chcesz mieć jakiegoś świadka inkognito, ale jego zeznania zapewne będą procesowo guzik warte.

– Nie szkodzi, aby się zaciepić. Nie koniecznie zaraz dla procesa.

Charuj poruszył swoich informatorów i znajomych z branży, szczególnie byłych policjantów, którzy zostali prywatnymi detektywami lub pozakładali agencje ochrony i w niedługim czasie udało mu się tą drogą wymacać ślad dający pewną nadzieję.

Podano mu dyskretnie i w zaufaniu nazwisko człowieka, który był do niedawna kimś w rodzaju złotej rączki i specjalistą od zadań „przynieś, podaj, pozamiataj”, a został karnie zwolniony z rezydencji, za co żywił do gospodarzy serdeczną niechęć.

Faceta trudno było znaleźć, bo zniknął Charujowemu rozmówcy z pola widzenia, ale po kilku godzinach udało się namierzyć gościa, który zaczął się w ochronie i od miesiąca jakoś wiązał koniec z końcem.

Aspirant, korzystając z przychylności pośrednika, umówił się z delikwentem na rozmowę zastrzegając, że nie ma żadnych pre-

tensji do niego samego, a spotkanie ma mieć charakter wyłącznie towarzyski.

– Za co pana zwolnili? – Zapytał szczupłego i zabiedzonego z wyglądu pięćdziesięciolatka, gdy spotkali się w kafejce w pobliżu komendy.

– Pewnie zbrodnię popełniłem. – Z sarkastycznym uśmiechem odparł zapytany.

– Jaką?

– Straszną. Nadepnąłem kotu na ogon.

– He he he, a tak poważnie, to jaką?

– Poważnie mówię. Wlażłem do pokoju wymieniać żarówki jak akurat w sali obok nad czymś po cichu obradowali, nadepnąłem niechcący kotu na ogon bo leżał na drodze, kot, ma się rozumieć, rabanu narobił, to usłyszeli, wkurzyli się i wypieprzyli mnie z roboty.

– A ludzi z ochrony pan znał?

– Których? Państwowych czy prywatnych?

– To są i tacy i tacy? – Charuj udał zdziwienie, choć go to nie zaskoczyło.

– Przede wszystkim prywatni, to znaczy służbowi partyjni. Takiej ochrony to nawet papież chyba nie ma! Ostatnio nawet siły wzmocnili i nowe środki dostali.

– A jakie, na przykład?

– A chociażby parasol kewlarowy, co nad nim noszą niezależnie od pogody i ściankę stalową za mównicą rozstawianą, takiej nawet z bazuki, bracie, nie przebijesz! Pantofle z przylgami jak u ośmiornicy, żeby się czasem na niepodgrzewanym chodniku nie pośliznął i rączki nie złamał. Teczki dubeltowe, pancerne, rozkładane dostali. Czarny krawat z czujnikiem laserowym, czy ktoś niepowołany nie podchodzi. Kochany, cuda niewidy! Podobno nawet podgląd z satelity mają wykupiony, czy coś przypadkiem nad nim nie lata. W pobliże gabinetu nie podejdziesz, żeby cię elektroniczną pałą na chama nie obmacali.

– To wewnątrz też ochrona taka ścisła?

– Pewnie! – Były pracownik wyraźnie nie lubił poprzednich pracodawców. – Nawet pisuar gabinetowy ma sygnalizację do centrali, czy sika swój czy obcy.

– A jakby ktoś niepowołany z zewnątrz przyszedł? – Charuj ostrożnie zahaczył o meritum sprawy.

– To zależy. Niezapowiedziany w ogóle by nie wszedł. Nie było takiej możliwości. Od czasu tego napadu wariata w Łodzi to już szczególnie byli wyczuleni.

Charuj po powrocie do komendy zdał relację O'Mlettowi i obaj doszli do wniosku, że chociaż delikwent na świadka kompletnie się

nie nadaje, to jednak wzbogacił ich pogląd na sprawę. Z jego opowieści niedwuznacznie wynikało, że typowych interesantów, jeżeli w ogóle tacy byli, traktowano raczej z dużą dozą nieufności.

O'Mlett wysłuchawszy opowieści Charuja zlecił jeszcze intensywniejsze poszukiwania samochodu pasującego do kluczyków znalezionych przy zwłokach, ze szczególnym uwzględnieniem przechodzonych beemek, choć i co do tego nie było żadnej pewności, a raczej połowiczne prawdopodobieństwo.

Sekcję nieszczęsnej ofiary przeprowadzono następnego dnia z samego rana i protokół dostarczono po dwóch godzinach zastrzegając, że badania szczegółowe w zakresie toksykologii, treści żołądka, płynów ustrojowych itp. potrważą nieco dłużej.

Zgodnie z tym, co przewidywał Charuj, autopsja nie stanowiła przełomu w śledztwie. Przyczyna śmierci była oczywista, mechanizm również, a niewielkie zasinienia na ramionach i klatce piersiowej zdaniem patologów mogły powstać w wyniku działania osób trzecich, na przykład podczas wstępnych prób zdjęcia z haka czy reanimacji, ale ostatecznie protokół nie przesądzał jednoznacznie o ich przyczynie.

Najciekawszym elementem protokołu było stwierdzenie, że zwłoki należą do mężczyzny najwyżej trzydziestopięć do czterdziestoletniego, bardzo zdrowego, raczej wysportowanego, choć

bez przerostów mięśniowych i nie posiadającego żadnych wad układu kostnego czy organów wewnętrznych, które mogłyby usprawiedliwiać przyznanie renty z przyczyn fizycznych.

Wynik sekcji wyraźnie zaniepokoił O'Mletta. – Jak on pensjoner from Kaći Dół, to on może jaki duży sportsmen, ale chory na głowa! Może on szwyr?

– Myślisz, że rentę psychiczną mu dali?

– Yes, możliwe, jak on tilko forty jers old.

– No, fakt. Na starego nie wyglądał, chociaż trupy na pierwszy rzut oka różnie wyglądają, nie koniecznie na tyle lat, co akurat miały za życia. A komenda z Kaczego Dołu nic nie meldowała, że on jest psychiczny. Przecież powiedzieliby, bo to ważne. Patolodzy o żadnych zmianach w mózgu też złamanego słowa nie piszą.

– Ja tu cosz ne rozume. Ofiar ma ajdentai kard i drugie dokumenty, to on jest, co ma być. Pykczer teś a litl podobny. To lasiego poulis w Kaci Dół mówy, że on szlepy emerytur i mieśka w jakaś kanciapa?

– Ja też nie rozumiem. – Potwierdził Charuj. – Ale my widzieliśmy go krótko, w przelocie i przyznam, że jego gębie nie przyglądałem się zbytnio. Wiesz co, komisarzu? Weź ty sobie dzień wolnego, strzelimy sobie dużą wódkę pod barszcz z kołdunami i idź spać! Może coś takiego wyśnisz, co nam sprawę

ułatwi. W takiej sytuacji wszystkie chwytby są dozwolone, nawet Przeciąg nas nie ochrzani.

Zanim wszakże O'Mlett zdołał ocenić atrakcyjność propozycji Charuja, z komendy w Kaczym Dole doszła niespodziewana wiadomość, że rano pojawił się tam mężczyzna, który podał, że nazywa się Zenon Wyskrobek i złożył doniesienie, że trzy dni temu we Wrzeszczu skradziono mu wszystkie dokumenty. Poinformował również, że zgłaszał już tę kradzież w tamtejszej komendzie, ale poszukiwania nie przyniosły rezultatu więc powrócił do domu, gdzie dowiedział się, że z jakichś względów policja zaplombowała mu mieszkanie. Prosi więc o zdjęcie plomb i pomoc w wyrobieniu nowego dowodu osobistego i duplikatu legitymacji ZUS oraz urzędowe poinformowanie wydziału lokalowego, że on żyje i zamierza w dalszym ciągu mieszkać tam, gdzie mieszkał dotychczas.

W komendzie zastanawiano się przez pewien czas, czy dla pewności nie zamknąć faceta na czterdzieści osiem godzin, bo z takim co podszywa się pod nieboszczyka to nigdy nic nie wiadomo, ale w końcu zdecydowano, że niech decyduje góra bo miejscowi nie mają sił i środków na takie dochodzenie, które zahacza o metafizykę.

Kapelan z komendy również nie podjął się poprowadzenia czynności wyjaśniających, bo jakiegokolwiek dane mógłby uzyskać

jedynie w drodze wysłuchania spowiedzi, a tego i tak nie wolno by mu było ujawnić, więc akcja miała się z celem.

Sprawa zrobiła się pilna, bo gościa nie można było przetrzymać zamkniętego w celi w nieskończoność, a wypuścić go też nie było można, bo a nuż okaże się, że to na przykład zombi albo jeszcze gorzej, jakiś agent KGB, i co wtedy?

Sytuacja była o tyle ciekawa, że O'Mlett postanowił nie powierzać na siłę dalszego prowadzenia sprawy gminnym policjantom, lecz samemu zająć się nią od podszewki. W końcu dwóch ludzi o jednakowych personaliach, w tym jeden nieżywy, to nie była codzienność i wymagała wnikliwszego zbadania. W tym celu następnego dnia z samego rana wybrali się z Charujem do Kaczego Dołu.

W kaczodolskiej komendzie przyjęto ich gościnnie i z nadzieją, że zdejmą im z głowy ten zawity problem. Gdy czekali dłuższą chwilę aż sprowadzą im z dołka rzekomą ofiarę kradzieży, z nudów zajęli się obserwacją rutynowego przesłuchania jakiegoś, dość młodego delikwenta, który zgłosił się na cotygodnową wizytę w ramach nadzoru po przedterminowym wypuszczeniu z pudła. Facet przyszedł sam i w terminie, ale nie do tej komendy, do której powinien, był bowiem mieszkańcem pomorskiego, a tu niczego o nim nie wiedziano. Trwały więc ustalenia, czy zgłoszenie można uznać za zgodne z wymogami, czy też nie. Gość nazywał się

Ciupek, grzecznie przesiedział dwa lata za napad czy wymuszenie z użyciem narzędzia i tłumaczył, że przyjechał tu wyłącznie w celach turystycznych, a zameldował się przecież na policję, a nie na przykład do straży pożarnej, więc teoretycznie wszystko powinno być w porządku. Co prawda strasznie kręcił i za cholerę nie chciał wyjaśnić, gdzie był i co robił przez ostatnie dni, ale to jeszcze nie stanowiło podstawy do zatrzymania.

Człowiek, którego w końcu O'Mlettowi i Charujowi przedstawiono, był mężczyzną średniego wzrostu, lekko przygarbionym, gładko ogolonym, o szczupłej, niemal ascetycznej twarzy i bujnym mimo wieku owłosieniu na głowie. Na nosie miał przydymione okulary o bardzo grubych szklach, a na czole niezbyt widoczną, starą bliznę biegnącą ukosem nad lewą brwią.

Facet był z lekka wymiętoszony, bo już dobę za niewinność przebywał na dołku i zdrowo zły, bo wszystkie jego dotychczasowe wyjaśnienia, tłumaczenia i prośby trafiały na mur służbowo należytą ostrożności.

– Jak się pan nazywa? – Stereotypowo zaczął Charuj.

– Już chyba, kurna, sto razy mówiłem, że Wyskrobek Zenon, syn Stefana i Apolonii z domu Klomb, urodzony, kurna, w Kapuścinie, kurna, w sześćdziesiątym drugim! Starczy, kurna, czy mam powtórzyć?

– Od czego ma pan tę bliznę na czole?

– Toto? To jeszcze w wojsku, jak byłem, łeb sobie rozbiłem o kant włazu w ruskim transporterze! Czy wyście, kurna, całkiem ocipieli, że teraz o to pytata? To było trzydzieści lat temu!

– Gdzie mieszka pańska ciotka? – Charuj pytał spokojnie, nie zwracając uwagi na nerwową agresję przestłuchiwanego.

– Domek ma pod Gdańskiem, zara przy szosie, jak się na lotnisko jedzie.

– I w tym domku mieszka?

– A gdzie ma, kurna, mieszkać? Jasne, że w domku!

– To nie przebywa w żadnym ośrodku opiekuńczym?

– A gdzie tam! Całkiem na chodzie jest, nawet bardziej, kurna, niż ja, bo dobrze widzi i nijakiej pomocy nie potrzebuje

– Jak się ciotka nazywa?

– Klomb się nazywa! Melania! Czego od niej chcecie? Starsza kobita, sześć dych z groszami jej minęło, ale jeszcze niczego sobie. Narzeczonego nawet sobie, kurna, przygruchała, psia jego mać! To młodsza siostra mojej matki, nieboszczki, nie wiedziałem, że będzie taka głupia żeby na stare lata takiego młodego, kurna, gacha sobie fondować!

– Kiedy pan ją ostatnio widział?

– Dwa dni temu. Dopiero od niej wracam, ale dzień z tego tutaj, kurna, pod celą siedzę, cholera wie za co!

– Nie lubi pan tego narzeczonego ciotki? – Charuj usiłował pogłębić temat, bo niechęć Wyskrobka do kochanka ciotki wydała mu się śledczo obiecująca.

– Ze dwa razy z gościem parę słów zamieniłem, raz na Wielkanoc i drugi raz teraz. Nie podobuje mi się, dupek i już! Od razu, kurna, widać, że na forsę leci, ale ciotce nie przetłumaczysz! Młodszy od niej sporo i taki jakiś... no, kurna, strasznie niby entelegentny, ale uważania dla człowieka to on, kurna, mojem zdaniem nie ma. Zara z łapamy lezie, że niby taki okropnie zakochany, z kwiatkami przychodzi, ale na moje oko to podrywacz zwyczajny i oszusta kawał.

– A jak wygląda?

– Ja tam, panowie, mało co, kurna, widzem. Wzrostu jak ja, włosy długie, marynarka, niby aligancki, pod krawatem, gruby nie jest, znaczy siem, kurna, normalnie wygląda, tylko wedle zachowania jakby dziwny ździebko. A samochodem, panowie, to takim przyjechał, że i ministery pewnie lepszych nie mają! Limuzyna czarna jak u jakiego biskupa.

– A tak ogólnie to czym się wyróżnia? Wąsy może ma, albo brodę jakąś nietypową?

– Nie, obgolony do czysta, zarostu nie posiada.

– No to czemu dziwny?

– Mówi tak jakoś do człowieka jakby spowiadał, jakby zara chciał wszystko wiedzieć. Niby taki cacy lali, całuje rączki, o miłości krugom ciuciu muniu, a zara na politykie wchodzi, A czy ciotka w Solidarności stoczniowej była, a kogój zna, a czy jej się napis, kur-na, o Leninie podoba, a czy domek to jej czy zakładowy może. Zara widać, że on taki zakochany jak ja chiński cesarz. Ze mną to też ledwo pół godziny pogadał, a wszystko go jenteresowało. A gdzie mieszkam, za co żyje, a na co jezdem chory? Normalnie, jakbym był na spowiedzi!

– To ciotka jest emerytką ze stoczni? – Charujowi zamigotała pod czaszką jakaś dioda.

– No. W strajkach była, Wałęsę zna, ale tych nowych, co tera są, to nie uważa. Mówi, że to wszystko farbowane lisy, co pod siebie ciągną. Żadnego z nich wtedy w stoczni nie było, dopirój tera zrobili się takie wielkie bojownicy.

– Domek to jej własny, czy zakładowy?

– Własny, jeszcze po rodzicach, z mojom matkom tak się spłaciły, że ona ma dozywocie, a potem całość będzie na mnie, bo jedynak jezdem.

– Ajedntyfity kard i druge dokumenti to gdzie panowi ukradzili?

– O’Mlett włączył się do przesłuchania.

– A bo ja wiem? W domu, u ciotki, w marynarce, kurna, miałem. Do kościoła z niom poszłem, na obiad wróciłem, sięgłem do kieszeni, a tu nie ma! Zaczęli my szukać, ale kamień woda! Zgubić przecie, kurna, nie mogłem, bo gdzie? W kościele? Jak na tacę dałem, to w kieszeni pięć złotych oddzielnie miałem, kurna, przygotowane. W tłoku nie stojąłem, to mi nikt portfela nie wyciąg.

– A ten narzeczony był z wami?

– Nieee. Pojechał sobie jeszcze zanim my, kurna, do kościoła wyszli. Siadł w te swoje lemuzyne i pojechał. Nieczasowy był podobnie i nawet na obiedzie nie chciał zostać. Zresztą ten obiad to po prawdzie tylko ja zjadłem, bo ciotce coś zaszкодziło. Z tem narzeczonym przedtem jakiś sok zagraniczny pili, to może on był taki nieświeży. Już w kościele brzuchom bolało.

– Wi pan może, jacy nejm ten narzeczony? – Spytał O'Mlett.

– Że co proszę?

– Jak się ten absztyfikant nazywa? – Wyjaśnił Charuj.

– Cóż tam ciotka mówiła, jakieś Blu... Bli..., ale nie spamiętałem. Beniek go wołała. Beniek i Beniek, ale jak na nazwisko, to tera nie wiem. Przedstawiał mi się, ale tylko z imienia. Ciotki trza zapytać.

– A ciotka ma telefon?

– Pewnie, że ma. Każden tera ma. Nawet komórki ma, chiba że naładować zapomni.

Wymiętoszony delikwent dostał od Charuja telefon, bo jego własny był w depozycie, bez kłopotu połączył się z ciotką i po minucie policjanci dowiedzieli się, że absztyfikant kobiety nazywa się Benon Błagierek i podobno pochodzi z lubelskiego, ale nie wiadomo dokładnie z jakiej miejscowości, czemu zresztą aspirant i tak nie dał wiary, bo wątpił, by narzeczony mówił prawdę.

– A jak pan zgłosił na policję zaginięcie dowodu, to co panu powiedzieli? – Zapytał bardziej dla porządku niż z chęci uzyskania jakiejś liczącej się informacji.

– Że bedom szukać, że może gdzie wypłynię. A co mieli powiedzieć? Zaświarczenie dali, że zgłosiłem i kazali zapodać na komendę w miejscu zamieszkania, no i wsio. No to przyszedłem tu i zameli-dowałem, a uni mięż zara za frak i zamkli! Na dechach, kurna, całe noc przeleżałem, no to jak to tak? Za niewinność?

– Tylko do wyjaśnienia. Mieli powód, a stracić pana z oczu nie mogli.

– Przecie sam do nich przyszedłem!

– Dobra, panie Wyskrobek. Przepraszamy pana, ale siła wyższa. – Ciepło powiedział Charuj. – Trudno, czasami tak bywa. Nie będziemy pana za darmo trzymać, ale musimy mieć z panem kontakt, więc niech pan nie wyjeżdża z miasta, a jak pan będzie koniecznie

musiał, to niech pan wcześniej powie. Dobrze, że pan przyszedł, bo jest nadzieja, że się pańskie dokumenty znajdą.

– Szkoda, że nie mamy rysopisu tego narzeczonego ciotki. – powiedział Charuj do O’Mletta gdy wracali do komendy po rozmowie z wymęczonym dobowym zatrzymaniem Zenonem Wyskrobkiem. – Trzeba by było ściągnąć od tej kobity portret pamięciowy, może gdańska komenda nam to po koleżeńsku załatwi, bo przyznają bez bicia, że nie chce mi się jechać tylko po to taki kawał drogi. Może ta Melania Klomb ma jakieś z nim wspólne zdjęcia?

– Ciebie zrobić foto temu trupu z Nowogrodzka. – Zdecydował O’Mlett. – Może czotka jego poznawa, bo ty też myślisz, że to może być on?

– Cholera go wie. Może on, a może nie on, ale jemu najłatwiej było ukraść papiery tego Wyskrobka. A ty jak myślisz? Jesteś zdania, że jednak trzeba się przejechać do tego całego Wrzeszcza?

– Łot ys dys „wżeścia”?

– To taka dzielnica Gdańska.

– Aha, barso trudny nazwa, No to ja myszli, że cieba psiestuchacz czotka, bo ten blind men nie da rysopisa, jak on barso niedużo wydzi. Na razie tu mamy najważniejszego ślada. Zobacimy, or,...or.

Wyprawa do Gdańska zajęła im cały następny dzień. Przygotowali się do niej solidnie zabierając ze sobą świeżo wykonane zdję-

cia nieboszczyka, które szczęśliwie wyszły niezbyt makabrycznie, i uprzedzili miejscową komendę, aby w razie potrzeby dostarczano im policyjnego rysownika.

Pojechali przydzieloną im zdezelowaną tojetą, którą jeździli od pół roku i szlag ich trafiał, bo na krajowej siódemce były same roboty drogowe, a tam gdzie ich nie było, to szaleli śpieszący się biznesmeni.

Pani Melania Klomb przyjęła ich dość gościnnie, bo miejscowi uprzedzili ją o wizycie i upewnili przy okazji, że do niej osobiście nie mają żadnych pretensji.

Na przedstawionych jej zdjęciach natychmiast rozpoznała swojego narzeczonego i nie popadła w histerię, choć właściwie takiej reakcji Charuj obawiał się najbardziej. Oczywiście, była zmartwiona, a może nawet serdecznie rozżalona ciosem, który spadł na nią znienacka, ale nie przejawiała szczególnej rozpacz. Widać jej zaangażowanie w tę znajomość nie było tak głębokie, jak to się wydawało jej siostrzeńcowi.

W tej sytuacji sporządzenie portretu pamięciowego było zbędne i O'Mlett podziękował miejscowej komendzie za gotowość rysownika. – My nie pociebywują żaden pykcher, bykoz foto trupu ys wery ślicny! – powiedział do komendanta, czym wprowadził go w niekłamany zachwyty.

– Kiedy pani poznała pana Benona Blagierka? – Spytał Charuj gdy usiedli nad herbatą przy dużym stole w jadalni.

– A będzie z pół roku. – Wyjaśniła Melania Klomb. – Jechał tu samochodem, zatrzymał się przed domem i pytał o drogę na lotnisko.

– Nie widział drogowskazów? Przecież niemalże co pół kilometra wiszą, a droga tylko jedna, bardzo wąska zresztą.

– Mieli poszerzać, ale ludziom teren musieliby zabrać.

– Przecież nie za darmo chyba?

– No nie, mieli płacić i nowe place dawać. Niektórzy się nawet zgodzili.

– A pani się nie zgodziła? Za mało płacili?

– Nie to, nawet mieszkanie w bliźniaku dawali, ale co mi się na starość przenosić? Zresztą i tak z tego poszerzenia nic na razie nie wyszło, jak było tak i jest. A z urzędem miejskim o ten ogródek od ulicy niech po mojej śmierci już Zenek se wojuje.

– Nie trzeba zaraz myśleć o śmierci. Pan Zenek mówił, że jak wyjeżdżał, to pani niezdrowa była.

– Coś mi zaszkodziło, że i obiadu nie mogłam jeść. Nawet tego soku od Benka nie wypitałam, bo trąciłam szklankę i się wylał. Ledwie co usta umoczyłam, a Benkowi pewnie przykro było, bo może myślał, że pogardziłam.

– A butelkę po tym soku może pani ma?

– Był w kartonie, ale już go wyrzuciłam. A po co on panu? Karton jak karton, normalny.

– W zasadzie po nic, tylko tak pytam. No dobra, a wracając do tematu to pan Benon wtedy tablic nie widział?

– No, widać jakoś nie przeczytał. Pogadaliśmy chwilę, a jak za godzinę wracał, to kwiatki mi przywiózł, bo mówiłam że lubię goździki i pewnie zapamiętał. Przedstawił się nawet mimochodem, Leon Pisarczyk czy Piekarczyk, czy jakoś podobnie mi się wydawało, ale wtedy dobrze nie zapamiętałam. Dopiero później, jak za drugą razę przyjechał, to się wyraźniej przedstawił. No i tak poznaliśmy się. Szkoda, że nie żyje, wieczne odpoczywanie... taki porządny człowiek. To wypadek był jakiś?

– Można tak powiedzieć. A potem częściej do pani przyjeżdżał?

– Z początku to ze dwa, trzy tygodnie go nie było, ale później przyjechał któregoś dnia pod wieczór, znowu z kwiatami i powiedział, że musi zaraz jechać, bo nie dostał miejsca w hotelu. No to mu powiedziałam, że go przenocuję. Wtedy mi aligancko powiedział, że nazywa się Benon Błagierek. Zaczęliśmy gadać i do północy nam zeszło. Grzeczny był człowiek, aligancki w sobie i taki życiowy. W Iraku czy gdzieś tam był, chyba przy wojsku, podobnie nawet ranny został. Co i raz po cichu za bok się chwytał, ale mówić o tym nie chciał, napomknął tylko.

- Samochodem przyjeżdżał?
- Noo. Ładną miał lemuzynę, całą czarną, tylko koła srebrne.
- A marki pani nie pamięta?
- Ja się tam, panie, na samochodach nie znam. Książdz proboszcz u nas takim albo podobnym jeździ.
- A mówił pani ten pan Benon skąd pochodzi?
- Mówił zdaje się, że z lubelskiego, ale detalicznie nie pytałam.
- O rodzinę też pani nie pytała?
- Jakoś nie, ale widać było, że samotny był człowiek. A co, nie ma go kto teraz pochować? Taki los, za ojczyznę walczył, a teraz nikt mu nawet oczów nie zamknie.
- A z czego biedak żył, gdzie pracował? – Charuj sondował delikatnie i ze współczuciem w głosie. – Skoro miał taki ładny samochód, to pewnie bardzo ubogi nie był, z czegoś musiał go utrzymać.
- Pewnie z renty. Jak tyle jeździł po świecie, to chyba coś mu płacili, chociaż teraz o zasłużonych podobnież całkiem nie dbają.
- Pieniądze jakieś pożyczął od pani?
- Nigdy! – Kobieta zachnęła się, zbulwersowana niesłusznym posądzeniem więc Charuj natychmiast odstąpił od sugestii.
- Pytam, bo nie znaleziono przy nim żadnych pieniędzy. – Wyjaśnił ze smutnym wyrazem twarzy.

– Pewnie go jeszcze okradli po tem wypadku! Ludzie to hieny, panie! Nawet śmierci nie uszanują.

– A widziała pani może jego dokumenty, na przykład dowód albo prawo jazdy lub w ogóle coś?

– No nie! Po kieszeniach mu przecie nie patrzyłam! – Z lekkim oburzeniem w głosie odrzekła ciotka Melania.

– Wnioskuje, że wasza znajomość miała raczej platoniczny charakter. – Aspirant bardziej stwierdził niż zapytał, ale rozmówczyni rozumiała to po swojemu.

– Chłop zawsze w gospodarstwie się przyda, nawet na przychodne.

– Wiedział o tym, że dom ma pani tylko na dożywocie? – Charuj wałną z grubej rury.

– Pewnie, że wiedział, ale powiedział, że jak się ludzie kochają to takie sprawy nieważne, że to nic nie szkodzi!

– Komu nie szkodzi? Jemu? Czy zamierzał się z panią ożenić?

– Nooo... nie wiem. Tak jakoś się zgadało, może by i chciał.

– A pani?

– Ja? Ja tam za dużo o tem nie myślałam. No, wie pan, człowiek już swoje lata ma...

– A siostrzeniec co pani mówił na temat waszego współżycia?

– Krzywił się trochę, mówił żebym uważała, bo to różnie bywa. Ale co on wie? On tam sobie żyje, a ja tu. A Benka to chyba raczej nie lubił, nie wiem za co, bo Benek miał do niego serce jak na dłoni!

– A jak się pani teraz czuje ze zdrowiem? Te nudności przeszły?

– U lekarza byłam, ale nic nie wykrył. W głowie się tylko czasami zakręci, starość nie radość, panie!

O'Mlett z Charujem doszli do wniosku, że niczego więcej się tu chyba nie dowiedzą, więc podziękowali, pożegnali się i wyruszyli w drogę powrotną. Na odjezdnym komenda poinformowała ich jeszcze, że w tutejszych annałach nie znaleziono żadnej wzmianki na temat Benona Bлагierka ani nie wpłynął do niej żaden meldunek zawierający takie nazwisko. Natomiast po rutynowym rozpowszechnieniu w komendzie zdjęcia nieboszczyka zgłosił się jeden z pracujących po cywilnemu dzielnicowych i zameldował, że twarz z fotografii z grubsza przypomina mu człowieka, który kręcił się wzdłuż ulicy, przy której mieszka ciotka Melania i rozmawiał z mieszkańcami na temat rozbudowy drogi i ewentualnej sprzedaży przyulicznych działek. Policjant wyjaśnił, że nie meldował o tym wcześniej, bo przecież wszyscy wiedzą, że miasto ma zamiar poszerzać drogę, więc nic w tym dziwnego, że urzędnicy rozmawiają z ludźmi, a w zachowaniu faceta nie było nic niepokojącego.

– Może się ta informacja wam do czegoś przyda, a może nie, w każdym razie, dla porządku, musicie wiedzieć. – Zakończył komendant.

– W tym wszystkim, co naopowiadał ten narzeczony, może nie być słowa prawdy, łącznie z jego nazwiskiem. – Powiedział Charuj do O’Mletta gdy wracali do domu zatłoczoną krajową siódmką. – Ale dla pewności trzeba sprawdzić, czy MON nie wysyłał kogoś takiego do Iraku.

– Army nie wśisko powi. To może top sikret.

– Przecież nie zapytamy, co tam robił, tylko czy w ogóle był. To nie powinno być tajemnicą. Zresztą tak czy siak, zapytać trzeba, ale to dopiero jutro, bo na dzisiaj to ja mam dosyć.

Następnego dnia od samego rana Charuj zabrał się do szukania jakiegoś śladu po Benonie Blagierku. Najpierw sprawdzono bazę zarejestrowanych linii papilarnych, ale zgodności nie odnaleziono. Później przeszukano od deski do deski bazę danych DNA, ale również bez skutku. W obu przypadkach pozostawała jednak możliwość dojścia do prawdy pod warunkiem znalezienia jakiegoś materiału porównawczego.

Ministerstwo Obrony Narodowej po dłuższym dochodzeniu po co im to, dlaczego, na czyje polecenie, za czyją zgodą i w ogóle po jaką cholereę odpowiedziało, że wedle dostępnych danych w żad-

nym z kontyngentów kierowanych do Iraku nie występował nikt o takim imieniu i nazwisku, a już na pewno nie było takiego wśród rannych sprowadzonych do kraju.

Pozostały więc poszukiwania w świecie zdrowych cywilów, skoro irackie rany okazały się bajką.

Urząd ewidencji ludności w Lublinie szukał długo i namiętnie, wertując dane od czasów cara Mikołaja, ale nikogo takiego nie znalazł.

Charuj, choć był dotychczas przekonany, że opowieści Benona Bлагierka delikatnie mówiąc mijają się z prawdą, poczuł się co nieco zawiedziony brakiem wyników. Uparł się jednak i zaczął intensywnie myśleć snując coraz bardziej piętrowe rozwiązania.

– Ta cała Melania – powiedział do zamyślonego O’Mletta, który w milczeniu obserwował jego wysiłki – ta ciotka właściwie nigdy nie widziała dokumentów narzeczonego. Opiera się tylko na jego słowach, a może on się zwyczajnie inaczej nazywa? Skoro wciskał jej ciemnotę o ranie i Iraku, to równie dobrze mógł znaleźć sobie inne imię.

– Ona też może nie słyści albo coś pomyła, bo to stara łomen. – Zauważył komisarz. – Ci first kristian nejm Banan barso popiular?

– Raczej Benon, he he! Nie, raczej rzadkie, teraz niezbyt używane.

– No wydziś, łatwy do pomylenia.

– Też możliwe, ale nie dla Polki. Ja przypuszczam, że jeżeli coś pomyliła, to raczej region, z którego facet rzekomo pochodził. Może to nie lubelskie, a lubuskie?

– A to jaky diferans... znać ... różnica?

– Pewnie, bardzo duża różnica. Jedno na wschodzie, drugie na zachodzie. To tak jakbyś pomylił Mein i Kalifornię.

Aspirant znów zabrał się do dzwonienia po wszystkich świętych, ale tym razem w Zielonej Górze. Już po godzinie wyłączenia się z urzędami okazało się, że trafił!

Ewidencja ludności poinformowała go sucho, ale konkretnie, że Benon Blagierek, syn Antoniego i Józefy z domu Lulek, jako ich siódme dziecko, urodził się w roku 1978 we wsi Kopyść Wielka, gmina Dachówka i zmarł tamże w roku 1982 w wieku lat czterech w wyniku rozjechania przez snopowiązałkę.

– A może któreś z pozostałych dzieci również miało na imię Benon? – Spytał Charuj. – Bywa, że jakieś imię po zmarłym powtarza się w rodzinie.

– Z danych wynika, że inne dzieci to same dziewczynki, zresztą dwie z nich też już nie żyją. – Odpowiedziała znudzona urzędniczka po minucie wertowania akt. – To wszystko czy jeszcze czegoś chcecie?

– Cili naś zwłok, co jest nażecony od czotka Melania i nie ścielili mu w Irak, ale poweszyli pod ziobro jako nejm Wiskrobek, nie jest Benon Błagierek. – Ze smutkiem skonstatował O'Mlett. – To hu yz hu? Barso to wsisko for mi komplykejszyn, ja muszy pyć duża kawa!

– Proponuję raczej dużą wódkę. Bez pał litra nie razbieriesz! Poza tym ta ciotka wspomniała, że facet początkowo się jej przedstawił, ale tak jakoś inaczej, jako Piekarczyk czy Pisarczyk, ale nie była pewna, bo nie zwróciła na to uwagi.

– No to może cieba posiukać.

– Może trzeba, ale to dość popularne nazwiska, a poza tym, jak ciotka niedostłyszła, to mogą brzmieć zupełnie inaczej. Na przykład Piekarek czy Pisarczuk.

Na razie skończyło się na dużej kawie. Zrobili sobie dubeltową zalewajkę i zabrali się do myślenia. Mieli kompletną plażę dowodową, żadnej nadziei na wyduszenie czegokolwiek od obecnych na miejscu przestępstwa, a czego by nie dotknęli to rozłaziło się w rękę.

– Przemyślmy wszystko od początku, krok po kroku. – Zaczął Charuj po kwadransie milczenia. – Facet ginie w dziwnych okolicznościach i z nieznanых przyczyn mając w kieszeni ukradziony komplet dokumentów na nazwisko Zenon Wyskrobek. Jedyny

świadek, który znał go bliżej, stwierdza, że denat nazywał się Benon Blagierek, a może jakiś Piekarczyk czy Pisarczyk, ale dokumentów na te nazwiska nie ma ani też nikt ich nie widział. Można więc założyć, że mamy dotychczas dwie, a może i trzy fałszywe tożsamości i dwie fałszywe opowieści o irackiej przeszłości i pochodzeniu z lubelskiego. Czego to dowodzi?

– Że on sze ukrywuje.

– Logicznie rzecz biorąc tak, ale w takim razie czemu on przychodzi do siedziby liczącej się partii? Przecież wie, że go tam zapytają o personalia. Jeżeli się ukrywa to powinien siedzieć cicho w jakiejś dziurze, a nie wystawiać się na identyfikację. Chyba że tam wiedzieli, kim jest naprawdę.

– Wiedzieli i poweszyli pod ziobro? Egzekuszyn? Imposybił!

– Możliwe jest wszystko, co przynosi korzyść polityczną lub ekonomiczną. Przez całe wieki palenie na stosie niewinnych ludzi było możliwe, to czemu nie to? Ale ja nie twierdzę, że tak było, tylko usiłuję dojść przyczyny.

– Dopsie, myślaj dalej.

– Jeżeli sam tam przyszedł, to musiał mieć powód. Być może miał coś odebrać lub coś przekazać, co mógł zrobić tylko osobiście. Albo na przykład o czymś wiedział i chciał czegoś w zamian.

– Znaci blekmeiler? Śantażowec?

– Nie wiem, przypuśćmy. W każdym razie coś z tym wszystkim było nie tak, no bo czemu przyszedł z lewymi dokumentami? Wątpię, aby go tam nie wylegitymowali i tak od razu szykowali mu audiencję na piękne oczy. Żeby tak wiedzieć na sto procent kim on był, to może by się nam jakaś klapka otworzyła!

No to nie było wyjścia i trzeba było od początku poruszać wszystkie śrubki, tylko że tym razem serwując rozmówcom dużo mniej precyzyjne dane.

Maksymalnie wkurzony MON po dłuższej wymianie zdań na kilku szczeblach odpowiedział, że w Iraku Piekarczyka nie było, a Pisarczyk był, ale nie miał na imię Leon tylko zupełnie inaczej i nie był ranny, najwyżej mógł się zaciąć przy goleniu. I w ogóle to niech się zdecydują, kogo szukają, a skład osobowy kontyngentów stanowi tajemnicę służbową, szczególnie jeśli prokuratura nie stawia zarzutów.

Centrala ewidencji ludności bardzo uprzejmie poinformowała, że Pisarczyków i Piekarczyków jest przeszło tysiąc, a Leonów w przedziale wiekowym 35 do 45 lat stu dwudziestu trzech, ale dane ulegają stałym zmianom, bo właśnie mamy informację, że jeden tydzień temu zmarł. Biorąc natomiast pod uwagę ewentualną modyfikację i odmiany w pisowni tych nazwisk, na przykład

na Piekarczyk czy Piesarczyk, co policja raczy sugerować, to bez bliższych danych tego określić się nie da.

– Rozumiem, a kim jest ten, co zmarł? – Charujowi zaświtała jakaś nadzieja.

– Pyta pan o zawód? Takich danych nie mamy. To pilot szybowca, zabił się gdzieś pod Nowym Targiem.

Lampka nadziei zgasła równie szybko jak się zapaliła i Charuj zaklął jak szewc.

– Charuj, ty zwoni do ta ciotka, niech ona psipomina jego nejm from first kontakt! Niech bieże tabletki na mózg i psipomina, bo my siukamy widła w stogu szana. – O’Mlett zdecydowanie prze-rwał męki aspiranta bo widział, że ten powoli popada w paranoję.

– Raczej igły w stogu siana, widły to łatwo znaleźć. A jak sobie ta ciotka nazwiska nie przypomni, to co?

– Nouting, triudno, będzemy siukać. Psiecieś się nie powesz-y-mu pod ziobro.

Chartuj ciężko westchnął i zadzwonił do ciotki Melanii. Rozmawiał z nią prawie półtorej godziny i O’Mlett zaczął się obawiać, że jego asystent dostanie apopleksji, bo bladł, czerwieniał, siedząc na krześle wykręcał sobie nogę w kolanie i walił plecami o kancias-te oparcie, a wolną ręką wrywał sobie to ucho, przy którym nie trzymał słuchawki.

Gdy w końcu aspirant odłożył telefon i ciężko dysząc zawisł na brzeżku służbowego krzesła, komisarz odczekał pół minuty i spytał krótko.

– Łot?

– Sukinkot! – Bez sensu ale do rymu odpowiedział Charuj.
– Według ciotki facet najprawdopodobniej powiedział „Picerczyk”, ale musiałem wysłuchać całej opowieści o tym, jak to jej mamusia niewyraźnie podała przed ślubem nazwisko narzeczonego czyli tatusia i ksiądz się jąkał przy zapowiedziach, bo zgubił kartkę, a dziadek, co zięcia niezbyt lubił, nabijał się z tego do końca życia.

– Yes, gud dżob, no to siukamy Piczerczik. – Stwierdził O’Mlett.
– A jaka nejm tego tatusza, co pomyłona?

– Chyba Klomb, bo ciotka jest panienka i nie zmieniała nazwiska.

– To jak Klomb można pomyłać?

– Przed ślubem, w stresie, wszystko można. Ja, na przykład, do munduru założyłem wiśniowy krawat w paski. Dopiero w samochodzie zauważyłem, jak spojrzałem w lusterko. Całe szczęście, że kolega mi pożyczył, bo pół komendy by mnie obśmiało.

Charuj po raz trzeci zasiadł na krześle tortur. Tym razem nie molestował już Ministerstwa Obrony Narodowej, bo nie mógł li-

czyć na żadną pobłażliwość, więc z miejsca zaatakował ewidencję ludności gdyż to biuro dysponowało mniejszymi możliwościami wysłania go na drzewo i zasłonięcia się armijną poufnością. Ale się niestety, biedak, przeliczył, bo już po piętnastu minutach odpowiedziano mu krótko i jednoznacznie.

– Nie potwierdzamy ani nie zaprzeczamy, że Picerczyk Leon istnieje, ale jego dane osobowe objęte są tajemnicą i nie możemy ich udostępnić.

Pośrednio wynikało z tej odpowiedzi, że jest lub przynajmniej był taki facet, ale jednocześnie praktycznie zamykało sprawę i Charuj odłożył słuchawkę, kładąc tym samym uszy po sobie.

– Dupa błada! – Powiedział do O'Mletta. – Wielki szlaban i ciesz w eterze! CIA, FBI, Mosad i wywiad watykański to małe pieski w porównaniu z tą tajemnicą!

– Wedzą, ale nie powedzą? – Spytał komisarz.

– Właśnie. Ale brak odpowiedzi to też odpowiedź. Skoro facet używał przynajmniej trzech różnych tożsamości, z czego jednej kradzonej, a drugiej wziętej z cmentarza to znaczy, że był pracownikiem jakiejś służby specjalnej, bo gdyby był żołnierzem mafii, to nie utajniono by mu danych personalnych. No to przynajmniej wiadomo, kim był z zawodu, nie wiemy tylko jak się nazywał, bo ten Leon Picerczyk to też pewnie zmyłka.

– Bykoz on from sekret serwis, to niech ony robią szledztwo, my nie muszy. Ciebie powiadać inspiктору i niech to od nas zdejmowa.

– A wiesz, z której służby on był? Prawomyślnej czy nieprawomyślnej? A dane osobowe tak czy siak musimy mieć, bo bez danych go nie pochowają.

– Mogą napisywać, że NN, a ty myślaś, że on z które służby?

– Nie mam pojęcia, może z dekonspiratorów wywiadu pana ministra Wymacerowicza, może z jakichś kombinatorów rzekomo antykorupcyjnych, na przykład z ABB. Wszystko jest w naszej demokracji możliwe.

– A cio to ABB?

– Agencja Babrania w Bebechach. Ostatnio dostali z lekka po uszach, ale resztki jeszcze po cichu działają, kogo pan prezes zdążył przytulić.

Wszelako dalsze rozważania, jaką to dziedzinę prawdziwego patriotyzmu uprawiał tragicznie zgasły denat, przerwał nagle telefon z komendy w Kaczym Dole informujący, że Zenon Wyskrobek został potrącony przez samochód.

Niedowidzący mężczyzna szedł chodnikiem łączącym jego miejsce zamieszkania z pobliskim sklepem spożywczym, którą to trasę co rano przemierzał od lat, na ogół o tej samej porze i na której

znał każdy kamień, kiedy nagle został najechany od tyłu przez furgonetkę, która nie wiadomo czemu pojawiła się na chodniku.

Wyskrobek zginąłby niewątpliwie pod kołami pędzącego samochodu, gdyby nie odwrócił się niespodziewanie tuż przed zderzeniem, bo zauważył, że w siatce brakuje mu zawiniątka z serem, które przez roztargnienie zostawił na sklepowej ladzie.

Ten ułamek sekundy pozwolił mu, mimo jego częściowego kalectwa, na odruchowe przywarcie do ściany tak, że samochód uderzył go nie przodem lecz bokiem i przewrócił powodując jedynie potłuczenia i otarcia.

Z czworga naocznych świadków, którzy widzieli ten wypadek, każdy jak zwykle miał inne zdanie co do jego przebiegu i winy uczestników, ale dwa elementy we wszystkich zeznaniach były zgodne, a mianowicie, że samochód był biały i że nie zatrzymując się szybko odjechał z miejsca zdarzenia.

Pewien student idący przed panem Wyskrobkiem odwrócił się na odgłos uderzenia i zauważył ponadto, że biała furgonetka miała zniszczone tablice rejestracyjne i inne z przodu niż z tyłu, ale numerów w pełni, niestety, nie zapamiętał twierdząc jedynie, że na przednim numerze pierwszą literą było „W”, a na tylnym „P” i na końcu chyba zero albo „O”. Nie był również w stanie opisać twarzy kierowcy, bo ten miał daszek od czapki nad oczami i ciemne okulary.

Dwie starsze panie idące po przeciwnej stronie ulicy upierały się, że wypadek miał miejsce na środku jezdni, a potrącony mężczyzna raptem wbiegł pod bardzo wolno jadący samochód, a potem zerwał się z asfaltu i położył pod ścianą. Jedna z pań twierdziła przy tym, że potrącony chciał zatrzymać tę furgonetkę i dlatego wybiegł na jezdnię, z czym nie zgadzała się druga dowodząc, że ta pierwsza to ślepa mała na oba oczy, bo mężczyzna uciekał przed pojazdem i pewnie by uciekł gdyby się nie potknął i nie przewrócił. W replice ta pierwsza orzekła, że ślepą gwadelupą jest ta druga, bo ma córkę kurwę i zięcia złodzieja, a tego nie widzi.

Czwartym świadkiem była gospodyni domowa w średnim wieku, akurat wyglądająca przez otwarte okno na parterze, która widziała jak pan Wyskrobek wcale nie szedł w żadną stronę, tylko leżał pijany w rynsztoku przy krawężniku, a samochód pewnie chciał go ominąć i dlatego wjechał na chodnik, ale jak zobaczył, że nic się nie stało, to sobie pojechał, wobec czego ona nie rozumie, po co temu rządowi te wszystkie przesłuchania i celowe ciągnięcie ludzi po komendach właśnie w czasie, gdy radyjo nadaje rozmowę z ojcem dyrygentem.

Zeznania świadków niewiele więc wniosły, co nie było dla policji szczególnym zaskoczeniem, bo wiedziała z doświadczenia, że tak zwani naoczni świadkowie na ogół opisują nie to, co rzeczywi-

ście miało miejsce, lecz to, co chcieliby zobaczyć i żadna siła nie jest w stanie zakłócić ich przekonania.

– A co z ofiarą? – Spytał Charuj sierżanta, który przekazał mu te wszystkie informacje.

– W szpitalu leży, ale pewnie jutro go wypuszczą, najdalej pojutrze, bo lekarze mówią, że miał cholernie szczęście. Trochę podrapany i wszystko.

– A co wiecie o sprawcy?

– W zasadzie to nic. Biała furgonetka, chyba dizel, nawet nie wiemy jakiej marki, bo te babcie nic nie kojarzą, a student myśli, że mercedes, ale nie jest pewien. Blachy na pewno lewe, pewnie ze złomu, żadnych napisów na burtach. O kradzieży takiej cynku nie mamy, pytamy po konfidentach, ale jak na razie nie wiedzą, chociaż jeden coś tam ćwierkał. Może coś sprzeda, bo mu zależy. Tak na oko wygląda to na ewidentny zamach, na razie postawiliśmy obserwację pod jego domem. Cholera wie, komu ten facet mógł się narazić, bo raczej nikomu stąd. Chyba to więc gościnne występy, bo z tutejszych na tak zorganizowane zabójstwo, i to zwykłego przeciętniaka, nikt by się raczej nie zdecydował. Nieopłacalne ryzyko.

– Dobra, stary, dziękuję. Jak coś się urodzi to dzwońcie i niech się ten Wyskrobek dla pewności lepiej z domu nie rusza. Spróbowali raz, to mogą spróbować i drugi, szczególnie że im nie wyszło.

– Charuj, cieba dawa protekszyn, znaci bodygard for czotka Melani! – Zdecydował O’Mlett po wysłuchaniu sprawozdania z Kaczego Dołu. – Jak zamachują na niego, to na czotkę teś. Te dwa osoby tugeder.

– Na nią już zamachiwali... tfu, zamachali... cholera! No, robili zamach. Wygląda na to, że ten Benek chciał ją otruć.

– Siur, oćwisto. Benek ded, ale jakieś drugie żiją. Nie ma psi-padka in dy łord, wsisko ma swoja psićina!

Charuj połączył się z komendą we Wrzeszczu i poprosił o obserwację i ochronę Melanii Klomb informując tylko krótko o próbie zamachu na jej siostrzeńca. Miejscowi trochę narzekali, że mają za mało ludzi, ale obiecali spełnić prośbę.

– No to ta cała intryga zaczyna powoli przybierać zrozumiałe kształty. – Powiedział Charuj do O’Mletta, a ten milcząco skinął głową. – No bo popatrz – kontynuował aspirant. – Na moje oko to było tak: Komuś zależało na przejęciu terenów pod planowaną szosę, bo to jest niezły biznes, a więc przez podstawionego człowieka toczono zapewne różne ciche negocjacje. W tym celu sprawca, emisariusz tego kogoś, natrafiwszy na podatny grunt postanowił przejąć teren od naiwnej właścicielki. Kupić tej ziemi nie chciał, a nawet nie mógł, ale otworzyła się okazja przejęcia gruntu i budynku w drodze spadku, bo właścicielka miała na nich tylko doży-

wocie. Wystarczyło by więc skutecznie usunąć właścicielkę i przybrać tożsamość spadkobiercy, a następnie wyeliminować również jego. Aby to osiągnąć sprawca wcielił się w postać atrakcyjnego absztyfikanta, pozyskał zaufanie kobiety, ukradł dokumenty osobiste dziedziczącego po niej siostrzeńca i osobiście podał jej truciznę, a następnie zlecił zamordowanie spadkobiercy w sposób nie nasuwający podejrzeń o związek ze śmiercią ciotki. Plan nie wypadł przez przypadek. Zwróć uwagę na to, że sprawca nawet nie czekał, aż ciotka powiększy grono aniołków, bo po pierwsze widocznie był pewny działania tego soczku, a po drugie nie chciał aby ktoś postronny ofiarę z nim kojarzył, poza siostrzeńcem oczywiście, który i tak był do odstrzału. Wykonawca egzekucji siostrzeńca nie wiedział o śmierci swojego zleceniodawcy, bo gdyby wiedział to nie zdecydowałby się na próbę rozjechania Wyskrobka, bo w tej sytuacji zamach tracił sens. No i co ty na to?

– A kto zlecywał, żeby rozjechiwać temu Wiskobku?

– Prawdopodobnie sam Benek. ale mógł to zrobić dopiero po ostatniej wizycie u ciotki, bo przecież wcześniej nie wiedział, czy uda mu się zdobyć dokumenty siostrzeńca, więc bezpośredni wykonawca miał mało czasu na przygotowania, może działał w pośpiechu i mógł popełnić jakieś błędy. Być może w tym Kaczym Dole coś znajdują. A ty co tak ogólnie o tym myślisz?

– Barso śliczy teory, może tak było, a może nie było. Dla nas nie ma żadny duży dowoda.

– No, trochę dowodów jest. Zeznania Melanii, zeznania Wyskrobka, znalezienie przy zwłokach jego dokumentów, próba otrucia ciotki, zamach na siostrzeńca, no i w końcu informacja dzielnicy. Jak to poskładać do kupy, to by się uzbierało.

– Może, ale nie dla sąda. Ferst, że prokiurator nie da zażuta, bykoz sąd i tak odźuci, bo sprawiec ded, a żećiwisty knujec nieznamy. Sekend, że na truwanie czotki nie jest żadna dowoda, bo doktor nie stwierdzuje. Ted, że auto krasz Wyskrobku to aksident, not killing. Fert, że poulismen, co go widział, to nie mówy, że kriminal. Zostawa jedno, że dokiument kradzony, ale to litl problem. I gdzie twoja dowoda?

– Nie przeczę, że twardych dowodów nie ma, ale chodzi mi o to, czy twoim zdaniem w ogóle powinniśmy iść w tym kierunku!

– Siur, ale cieba śiukać zlecownika, bo wikonawiec nie żywy.

– Ooo, szefie kochany! Zleceniodawca prawdopodobnie za wysoko siedzi, abyśmy go dosięgli. Zastanawia mnie tylko, po co ten nasz nieboszczyk polażł na tę Nowogrodzką? Przecież nie po to, żeby tam popełnić samobójstwo metodą Janosika.

O'Mlett zastanawiał się przez dłuższą chwilę, bo aczkolwiek takie kombinacje biznesowe z jego amerykańskiego doświadczenia

nie były mu obce, to nie wyobrażał sobie, aby ktoś tak ryzykował dla dość niewielkiego zysku.

– Załusmy, że ty dopsie myszli, ale jaky net profit on z tego może mieć? Jeden mały dżałka i jeden smot haus do zbużenia. End for dys biznes dwa trupa?

– Zależy, jak na to patrzeć. Dla samego Benka to nieduży zysk i olbrzymie ryzyko w przypadku ujawnienia, ale jego mocodawca mógł, na przykład, potrzebować nawet tak małego spłachetka ziemi w atrakcyjnym miejscu, aby latami blokować całą inwestycję.

– Witłumaćaj.

– To nasza, polska specjalność. Wszyscy ludzie mieszkający wzdłuż ulicy po licznych negocjacjach godzą się wreszcie sprzedać miastu pas ziemi pod poszerzaną drogę, a jeden upiera się i nie godzi. Zabrać mu nie można, bo to jego. Zmuszenie przez ograniczenie dostępu czy odcięcie mediów nie wchodzi w grę, bo to nękanie, a poza tym facet tego by nawet nie odczuł, bo w ogóle tam nie mieszka, więc jest to całkowicie bezskuteczne. No i zaczyna się kilkuletni ping-pong we wszystkich możliwych komisjach i sądach, a robota tymczasem stoi.

– Ale psieciś ten nowy właściciel, cili spadkobieżec nie żywy, bo on wiszy pod ziobro!

– No i o to chodzi, żeby wisiał! To dla odgórnego mocodawcy jeszcze lepiej, bo do tego wszystkiego dochodzą teraz roszczenia jakichś nieznanymi spadkobierców, którzy ujawnią się prawdopodobnie nie wiadomo skąd, w różnym miejscu i czasie, a każdego z nich wysoki sąd będzie zobowiązany dokładnie sprawdzić, co u nas trwa latami. Premier w ekspozycie uroczyście obiecał wybudować drogę, a nie zrobił tego i nikt nie wnika, dlaczego tak się stało. Wina nieudolnego rządu, który gnębi obywateli i już, a opozycja zaciera ręce! Kojarzysz, kochany panie komisarzu? Zobaczysz, że prędzej czy później odezwą się na tym stole jakieś nożyce!

Wszelako chwilowo nożyce milczały, bo miały co innego do roboty, jako że kolejny raz zmieniono kierunek oddziaływania na durne społeczeństwo i najważniejsza opozycja stała się raptem do obrzydliwości spolegliwa. Teraz, od miesiąca, obowiązywała zasada umiarkowanego plucia i bombardowania inwektywami, a w zamian za to organizowania ważnych sympozjów na palące tematy z udziałem wszelkich naukowych sław, które udało się zgwałcić. Jak wiadomo bowiem, każdy naukowiec jest człowiekiem z natury ostrożnym w osądach, więc nie wali z miejsca w mordę nawet wówczas gdy widzi, że się go po chamsku wrabia w jałową dysputę dla politycznych celów, podpierając jego uczestnictwem własne zamysły z piekła rodem.

Śledztwo tymczasem posuwało się do przodu powolutku i z oporami jak zdezorientowany rekrut pełzający pod niską siatką z drutów kolczastych. Oto w lesie, pięć kilometrów od Kaczego Dołu, znaleziono spalonego dostawczego fiata dukato bez tablic rejestracyjnych, który kiedyś był biały, a teraz stanowił idealną kupę złomu. O płonącym wraku powiadomił jakiś mieszkaniec pobliskiej wsi, ale przyjmujący wezwanie policjant nie zadbał o to, by precyzyjnie ustalić tożsamość informatora. Pożar pozacierał wszelkie możliwe ślady i na podstawie oględzin wraka zdołano ustalić tylko tyle, że samochód został skradziony dziesięć dni temu ubogiemu plantatorowi papryki, który nie wiedział jak żyć z tych paru hektarów pod szkłem i pewnie z tej przyczyny nie zameldował o utracie prawie nowego pojazdu.

Teraz wszelako, gdy przygnieciony skrajnym ubóstwem zaangażował się politycznie po stronie opozycji, to pouczono go tam by zażądał odszkodowania, bo nie może tak być, aby nieudolny rząd mafiolnym milionerom palił samochody bez żadnego umiarkowania.

Nie istniały żadne dowody na to, aby uboga ofiara kradzieży miała cokolwiek wspólnego z próbą zamachu na życie Zenona Wykrobka, potraktowano więc jego sprawę rutynowo, a wrak samochodu poddano szczegółowym badaniom usiłując dociec kto nim ostatnio jeździł i czemu go spalił.

Wnioski wydawały się proste. Założono, że pojazd służył do przeprowadzenia zamachu i w tym celu został ukradziony, a spalono go aby zatrzeć ślady i utrudnić śledztwo. Dowodziło to ponadto, że rozjechanie Wyskrobka było dla sprawców czynnością na tyle ważną, że nie wahali się poświęcić jej czasu, wysiłku i przygotowań. Nie ulegało bowiem wątpliwości, że ofiara przed rzekomym wypadkiem musiała być śledzona, samochód musiał być ukradziony w miejscu oddalonym od terenu zamachu i sprowadzony na czas, a następnie skutecznie zniszczony, bo zwykłe porzucenie go nie wchodziło w grę. Skoro to wszystko miało miejsce to znaczy, że usiłowanie zabójstwa półniewidomego emeryta było czynem z premedytacją zaplanowanym i przekraczającym w tym zakresie średnią krajową. Dziwiło tylko to, że mimo nakładu sił zamach się nie udał. Przecież gdyby sprawcy mieli zamiar tylko wyeliminować Wyskrobka spośród żywych, to wystarczyłyby prostsze środki, na przykład danie mu po łbie łomem w ciemnej uliczce lub zaciukanie we własnym mieszkaniu przez fałszywego listonosza czy inkasenta z elektrowni.

Czyżby więc chodziło o coś jeszcze, skoro postanowiono zabić Wyskrobka w sposób bardziej spektakularny? A może nie było tu żadnego drugiego dna tylko lekceważąca rutyna płatnego zabójcy, który dostał zlecenie i wykonał je bez należytej staranności, a te-

raz ukrywa się nie tylko przed organami ścigania ale i przed zleceńdodawcą?

Biorąc to wszystko pod uwagę policja w Kaczym Dole z tym większą determinacją zabrała się do badania wraku spalonego samochodu przyjmując za punkt honoru wykrycie sprawcy tak nietypowej zbrodni.

Tak więc po dwóch dniach patrzenia przez lupę na każdy szczegół spalonej furgonetki wykryto ślad linii papilarnych na wewnętrznej stronie zamka drzwi ładunkowych. Ogień jakoś szczęśliwie ominął to osłonięte miejsce, a temperatura nie zniszczyła go do końca, więc ślad dało się odczytać.

Porównanie z liniami papilarnymi właściciela samochodu okazało się niemożliwe, bo już sama próba konfrontacji wywołała święte oburzenie i zarzut naruszenia praw człowieka oraz bezpodstawne nękanie Bogu ducha winnego nędzarza, który z biedy musi pytać premiera „jak żyć” i nawet na tak proste pytanie nie otrzymuje satysfakcjonującej go odpowiedzi.

Całe szczęście, że linie komputer odnalazł w bazie i okazało się, że należą one do niejakiego Marcina Renki, ksywa „Rąsia”, zaufanego cyngla w niedawno rozbitej grupie „Garbatego”, zajmującej się haraczami, wymuszeniami, porwaniami dla okupu i rozbojami z użyciem niebezpiecznych narzędzi. Sam „Garbaty” co prawda

siedział od miesiąca, ale miał rozbudowane kontakty i prawdopodobnie mógł dowodzić z celi, a „Rąsi” nie udało się wówczas ująć i w dalszym ciągu cieszył się wolnością, mógł więc teoretycznie wypełniać polecenia szefa albo pracować na własny rachunek.

W związku z tym, że samochód był legalnie kupiony u dilerza i „Rąsia” raczej nie miał z nim kontaktu przed kradzieżą, było prawie pewne, że to on go ukradł nie umiejącemu żyć, ubogiemu plantatorowi i właśnie on usiłował nim rozjechać Wyskrobka.

Ślad był pewny, ale, jak na razie, niewiele wnosił do sprawy, bo „Rąsia” zniknął trzy miesiące temu, gdy wyłapano trzon grupy „Garbatego” i do teraz nigdzie się nie pojawił. W domu oczywiście go nie było, choć niepracująca żona i dwoje dzieci żyło zupełnie nieźle, a młodsze do przedszkola mamusia odwoziła dwuletnim bmw.

Według relacji żony sam „Rąsia” od paru miesięcy przebywał w Anglii, gdzie pracował i skąd regularnie przysyłał pieniądze, ale niestety nie udało się ustalić jaką drogą. Mogło byz tego wynikać, że „Rąsia” nie mógł ukraść fiata dukato ani potrącić Wyskrobka, ale podejrzliwa policja nie dawała wiary wyjaśnieniom połowicy bandziora i szukała go nadal w kraju słusznie zakładając, że w swoim zawodzie raczej za dużo w Londynie by nie zarobił, bo Anglicy mają własnych kilerów i nie muszą korzystać z usług importowa-

nych i bez zaplecza w miejscowym półświatku, a wejście w układ z rosyjską mafią byłoby równie niebezpieczne, co nieoptyczne.

Zimna kalkulacja przyniosła wreszcie skutek, bo po następnych dwóch dniach „Rąsia” wpadł gdy przybył na spotkanie z żoną do opuszczonej, zrujnowanej leśniczówki, wykorzystywanej czasami jako okresowa melina. Zdjęto go bezszmerowo, a że miał na koncie parę grubszych grzechów jeszcze z czasów służby u „Garbatego”, to miejscowy prokurator wystąpił o trzymiesięczny areszt.

W sprawie Wyskrobka „Rąsia” oczywiście szedł w zaparte, bo usiłowanie zabójstwa z premedytacją to już mogło być nawet i dwadzieścia pięć bez prawa wcześniejszego zwolnienia, tym bardziej że dało by się tu dopasować warunki recydywy. Wszystko zależało od mocy dowodów, bo nie da się zbudować wyroku na jednym odcisku palca, więc miejscowa policja stawiała na uszach.

Świadkowie bezpośredni byli bezużyteczni, więc zaczęto szukać dowodów pośrednich. Sklepowa w spożywcza od lat znająca miejscową klientelę w okazanym jej zdjęciu „Rąsi” rozpoznała człowieka, który dwukrotnie był w sklepie mniej więcej w tym samym czasie co Wyskrobek, chyba w towarzystwie jakiegoś młodzieńca o podejrzanym wyglądzie, a zapamiętała go z tego, że raz niczego nie kupił, a drugi raz zapytany, czego sobie życzy, chciał tyl-

ko rozmiąć stówę. Zachowania tego drugiego człowieka w ogóle nie zapamiętała, wie tylko że weszli i wyszli chyba razem.

Dwie sąsiadki natomiast, które stale przychodziły do sklepu na plotki i, szczególnie w czasie niepogody, przesiadywały tam godzinami, w ogóle nie przypominały sobie ani mężczyzny ze zdjęcia, ani tego drugiego, co w jakimś stopniu osłabiało wymowę zeznania sklepowej, ale go nie niweczyło, bo percepcja tych pań była z różnych względów mocno niedoskonała, a poza tym ich zdaniem wszystkie chłopy to pijaki, może poza jednym księdzem proboszczem, i nie ma co się im szczególnie przyglądać.

Sąsiedzi z okolicy miejsca zamieszkania „Rąsi” oczywiście nikt nie widzieli, o nikim nie słyszeli i w ogóle nie wiedzą o tym, że pani Renka jest zamężna. Tylko jeden ósmiolatek z sąsiedztwa wygadał się mimochodem, że widział pana Marcina parę dni temu jak wsiadał do takiego białego samochodu, ale z oczywistych względów zeznanie małolata nie miało zbyt wielkiej wartości dowodowej, a poza tym następnego dnia nie poszedł do szkoły, bo go mamusia stłukła na kwaśne jabłko, podobno za rozmawianie z obcymi bez zgody tatusia, który organicznie nie znosi psów.

Bardzo ubogiemu plantatorowi samochód dostawczy porwano z placu sprzed urzędu gminy, obok którego znajdowała się znana knajpa i barman z tego przybytku widział, jak znany mu zza baru

poszkodowany sam oddał kluczyki złodziejowi, zdaniem obserwatora wyraźnie przymuszony jakąś wymianą zdań. „Rąsi” jednakże barman na zdjęciu nie rozpoznał jako sprawcy rabunku, stwierdził tylko, że chce żyć, bo ma żonę i dzieci, co mogłoby wskazywać, że rozpoznanie jednak nastąpiło, ale jako klasyczne domniemanie nie niesie ono żadnych skutków prawnych.

W tej sytuacji stawało się jasne, czemu plantator przez tydzień nie zgłaszał kradzieży i zdecydował się na to dopiero wtedy, gdy sprawa stała się głośna.

Tak czy owak „Rąsia” na razie siedział za stare sprawy i coś się z tego mogło jeszcze urodzić, bo przecież ktoś ze wsi wezwał policję do płonącego wraku i tylko gapiostwu dyżurnego należy za wdzięczać, że nie wyduślił z informatora dokładniejszych danych. A skoro był świadek pożaru, to może widział i samo podpalenie, więc pod czaszką śledczego tliło się nikiłe światełko nadziei.

Dzięki uporowi i przenikliwości policyjnego wywiadowcy udało się ustalić, że informacja telefoniczna o płonącym samochodzie wpłynęła od pewnego dwunastolatka, który dwa dni wcześniej dostał na imieniny w prezencie najprostsza komórkę na kartę i zafascynowany nowością wydzwaniał do kogo tylko mógł.

Niezależnie od intencji dzwoniącego, który to powiadomienie traktował raczej jako zabawę, informacja była cenna i praw-

dziwa, ale dzieciak, niestety, nie wiedział na ten temat niczego więcej. Ot, po prostu łaził bez celu skrajem lasu, nikogo nie spotkał, zobaczył płonący samochód, więc zadzwonił pod 112, bo mu w szkole powiedziano, że to numer straży ogniowej. Na zadawane mu pytania nie reagował, bo przestraszył się ewentualnej odpowiedzialności, dziecięcym zwyczajem wolał milczeć i dla pewności natychmiast przerwał rozmowę, wyłączając również telefon.

Tak więc ten ślad prowadził donikąd. Przepytano oczywiście całą wieś, ale skutku żadnego nie osiągnięto, jak to zresztą było do przewidzenia. Nikt oczywiście niczego nie widział i o niczym nie słyszał, a najczęstszą odpowiedzią była formuła „ja tam, panie, nic nie wim” względnie „mnie tam, panie, takie rzeczy nie obchodzą”. Pewnie, skoro spalili samochód na skraju lasu, to równie dobrze mogą spalić chałupę. Po co się narażać.

Z „Rąsi” w dalszym ciągu nie udawało się wydusić złamanego słowa gdzie się ostatnimi dniami obracał i z kim miał kontakt, bo wiedział doskonale, gad jeden, że jak będzie milczał to gównu mu zrobią, a czas uciekał i działał na jego korzyść. Może jakiś senator za nim poświadczy, albo jakiś biskup weźmie go w obronę, bo wiadomo przecież, że opozycja poprze nawet najgorszego bandziora jeżeli może tym zaszkodzić koalicji. Skoro udzieliła pomocy aktyw-

nemu kibolowi i od lat ochrania pirata drogowego z immunitetem, to czemu on miałby być gorszy?

Wziąwszy to wszystko pod uwagę O'Mlett doszedł do wniosku, że skoro główny kierunek śledztwa nie daje wyników, to należy zaatakować z flanki.

– Charuj, może tu cieba żuć sieroki netłork... znaci szec. – Powiedział do aspiranta przemyślawszy sprawę. – Nie jeden fisz, a dużo fiszów, dwa, tsi, to sze roby duża sprawa.

– Masz rację, paru fiszów pewnie w tym siedzi, tylko że to dla nas za grube ryby – odrzekł Charuj, który zrozumiał to po swojemu.

– Ja myszli, że cieba siukać na boki. Ta „Ronsza” nie singel, on ma pomocniki.

– Pewnie ma. Tylko w powieściach kryminalnych działa samotny kiler bez żadnego wsparcia, którego nikt nie zna i który robi wszystko sam od początku do końca.

– Właśnie! To ty pamiętaś ten drugi?

– Jaki drugi?

– Ten, co psichadza z nim w Kaci Dół do grausery szop. Jego widza ta sklepykowa. On psichadza i nyc nie kupywa.

– Aaa, pamiętam. Ale o nim niczego nie wiemy, nie mamy, nawet z grubsza rysopisu. To mógł być przypadkowy facet, co przyszedł po piwo.

– Psied pywo i nie kupywa? Może on obzerwer!

– Może, ale trzeba zapytać wróżki albo Ducha Świętego żeby się dowiedzieć, kto to.

Mimo sceptycyzmu Charuj porozumiał się z komendą w Gdańsku i zapytał, czy znany im jest niejaki Ciupek, który powinien zgłaszać się w ramach nadzoru, bo niedawno temu wyszedł z pudła, a jeżeli jest znany, to czy wiedzą, że zrobił sobie wycieczkę do Kaczego Dołu i zameldował się w tamtejszej komendzie. W przypadku potwierdzenia aspirant poprosił również o przestanie fotografii i dokładniejszych danych osobowych.

Po godzinie odpowiedzieli, że owszem, mają takiego pod opieką, nazywa się Józef Ciupek, ma dwadzieścia osiem lat, obecnie mieszka w Pruszczu i siedział ostatnio za rozbójnicze uprowadzanie drogich samochodów, ale do kontroli zgłasza się dość regularnie i nie ma z nim kłopotów. Znaleźli nawet notatkę, że komenda w Kaczym Dole informowała o jego zgłoszeniu, ale nie podjęli z tego powodu żadnych czynności. Na żądanie przestali faksem jego zdjęcie i grzecznie zapytali, czego właściwie stolica od niego chce.

Charuj powiedział, o co z grubsza chodzi, więc obiecano szczegółowo przysłuchać Ciupka na okoliczność jego wojaży i poinformowano przy okazji, że prawicowi radni z jedynie słusznego ugrupowania dwa dni temu złożyli wniosek o wpisanie domku Melanii

Klomb do rejestru zabytków, a to z racji dużego prawdopodobieństwa, że na należącym do niej terenie przed wojną znajdowała się od siedemdziesięciu lat nieistniejąca skrzynka pocztowa będąca własnością Poczty Polskiej w Gdańsku, co ma oczywiście olbrzymie znaczenie historyczno-martyrologiczne, czego celowo nie dostrzeżę nieudolny i zakłamany rząd dążący do utraty niepodległości.

Gdyby takiego wpisu rzeczywiście dokonano, to uniemożliwiłoby to całkowicie przejście terenu pod planowane poszerzenie drogi.

– No to my mamy cięcią wojnę szwiatową o domek czotki Melanii. – Ponuro stwierdził O'Mlett po zakończeniu przez Charuja rozmowy z Gdańskiem.

– Od początku mi to wyglądało na jakiś przekręt. – Potwierdził aspirant. – Przecież ten cały Benek, czy jak mu tam, nie budowałby takiej intrygi z myślą o sobie. Dużo wskazuje na to, że Benek, „Rąsia”, a może i ten Ciupek to jedna paczka.

Zdjęcie Ciupka powędrowało w dwa miejsca. Policja w Kaczym Dole pokazała je sklepowej w spożywczaku, ale ta nie rozpoznała klienta w sposób stuprocentowy. Stwierdziła jedynie, że być może widziała go w sklepie w dniu zamachu w towarzystwie tego, którego zdjęcie pokazywano jej poprzednio, ale takiej pewności nie ma, bo już się jej klienci pomylili. Może było to prawdą, a może była to

z jej strony zwykła ostrożność, bo wieść o aresztowaniu „Rąsi” już się po okolicy rozeszła.

Drugim miejscem była knajpa na placu przed urzędem gminnym w miasteczku, skąd uprowadzono dostawczego fiata należącego do bardzo ubogiego plantatora, sławnego z niewiedzy jak żyć. Tamtejszy barman bez chwili wahania rozpoznał na okazanym mu zdjęciu człowieka, któremu kluczyki do samochodu przekazał, być może zastraszony, badylarz.

To już był wyraźny ślad wiążący „Rąsię” z Ciupkiem, wobec czego O’Mlett wstępnie założył, że stanowili oni tandem, któremu zlecono pozbycie się Wyskrobka. Nawet jeżeli Ciupek nie wiedział o planach „Rąsi”, to on ukradł potrzebny do tego celu samochód, a więc tym samym współdziałał w zbrodni.

Prokurator przyjął tę informację z westchnieniem ulgi, że w ogóle coś się ruszyło w sprawie, ale jednocześnie z niepokojem, że ten amerykański, praworządny do obrzydliwości policjant dojdzie do jakichś szkodliwych politycznie wniosków i wytoczy armatę, która zakłóci ten względny spokój, jaki zapanował niedawno po kolejnej transformacji mister Hajda w doktora Dżekila. Jak bowiem stwierdziła pewna znana i zasłużona dziennikarka, nie ma gorszej rzeczy jak narazić się samcowi alfa, metr sześćdziesiąt minus, bo taki potrafi zemścić się nawet z za grobu.

Do Gdańska poszło więc oficjalnymi kanałami polecenie zatrzymania Ciupka do dyspozycji prokuratora, co wszelako ani o krok nie przybliżyło O'Mletta i Charuja do wyjaśnienia zasadniczej sprawy, a mianowicie kim był w rzeczywistości Benek, po co poszedł na Nowogrodzką i kto, po jaką cholere oraz dokładnie gdzie go utłukł, bo nawet to nie było całkiem pewne.

Można było snuć mniej lub bardziej usprawiedliwione przypuszczenia, oparte w większości o rachunek prawdopodobieństwa, ale to były tylko dowodowe plewy tym groźniejsze, że można się było w nich utopić jak w ruchomych piaskach.

Szczęśliwie doniesiono, że w Gdańsku pękł Ciupek. Zaskoczony niespodziewanym zatrzymaniem podczas kolejnej, rutynowej kontroli, pozbawiony wsparcia i postraszony odpowiedzialnością za współudział w usiłowaniu morderstwa wolał powiedzieć co wie niż narażać się na proces, po którym mógłby przez długie lata nie ujrzeć światła dziennego. Wisiało nad nim, co prawda, zagrożenie ze strony „Garbatego”, który nawet z więzienia potrafił osiągnąć prawdziwych lub domniemych zdrajców, ale to było mniejsze zło niż prawomocny, wieloletni wyrok w warunkach recydywy. Rozważywszy to Ciupek poszedł na ugodę w zamian za obietnicę, że prokurator jego sprawę potraktuje indywidualnie i nie będzie mu dorzucał paragrafu za pomocnictwo.

Przeważkowy Ciupek zeznał, że jakiś przeszło tydzień temu zgłosił się do niego „Rąsia”, którego znał z widzenia i zaproponował mu za godziwym wynagrodzeniem, jako fachowcowi w tym procederze, dostarczenie sprawnej furgonetki pozbawionej jakichkolwiek oznakowań, przeznaczonej do jednorazowego użytku. Wyjaśnił przy tym, że samochód potrzebny jest dobrze ustawionemu gościowi, więc sprawa jest stuprocentowo bezpieczna, bo organy mają za chude uszy żeby go sięgnąć. Dodał przy tym, że on sam nie może zwinąć tej fury, bo ma co innego do roboty.

Ciupek przystał na to, bo był potrzebowski, upatrzył sobie dostawczaka u jednego, podobno podpadniętego kiedyś „Garbatego” badylarza i zrobił go na żywca bez mydła i bez stosowania bezpośrednich środków przymusu. Samochód dostarczył na czas w umówione miejsce, powiadomił „Rąsię” i na tym skończyła się jego rola. Raptem na całej akcji zarobił na czysto półtora tauzena, ale zakładał, że sam „Rąsia” musiał zarobić dużo więcej, skoro opłacało mu się szukać podwykonawcy.

Kim był tajemniczy, dobrze ustawiony i wszechmocny ponoć zleceniodawca, Ciupek, niestety, nie wiedział, przypuszczał tylko, że gość musiał mieć niezłe plecy, a aniołem chyba nie był skoro potrzebny mu był kradziony samochód.

Ciupek nie miał również pojęcia, do jakiego celu potrzebna była furgonetka ani też kto ją miał prowadzić. Żadnego Wyskrobka nie znał i przysięgał na wszystkie świętości, że nigdy o nim nie słyszał.

– Wsisko barso ślicznie – podsumował to O’Mlett, – ale kto jest ten wysoko usadzony, co zlecuje? Tego wiedzieć dla nas najważniejsi, bo te drugie to plotki.

– Raczej plotki. – Poprawił Charuj.

– Ciemu plotki? Tu nie jest żadne ogrodzenie dla nas dostęp.

– Płatki jako drobnica. Nie rekiny, a płatki. Chyba to miałeś na myśli?

– Acha, yes. Rekiny zlecują, płatki to wikonywa.

– Właśnie. A ten rekin nie wygląda mi na „Garbatego”, bo po cholerę miałby mordować jakiegoś ślepego emeryta, więc raczej będzie nim Benek, bo jemu zależało. A skoro tak, to delikwent musi być mocny.

– Może z rządu albo z duża opozycja.

– Wątpię, raczej ze służb. Czynny polityk by tak nie ryzykował, bo w przypadku ujawnienia dupa błada i koniec kariery.

– W służby obowiąziwa prosediur, kurs of lau. – Zauważył O’Mlett.

– Pewnie u was tak, ale nie u nas. Tu każdy sobie rzepkę skrobie. Takie ABB na przykład to w ogóle praktycznie nie ma żadnej czapki nad sobą.

– Co jest ABB?

– Agencja Babrania w Bebechach. Ogólnie to oni są od nepotyzmu i korupcji, ale w szczególnych, uzasadnionych przypadkach od wszystkiego. Kochają robić spektakularne prowokacje na polityczne zamówienie. Są niezastąpieni jak trzeba kogoś skompromitować. Kombinują, naciągają, uwodzą, dobrze że jeszcze nie gwałcą.

– Imposeybił!

– Posybił, posybił. Jeden zasłużony Casanowa od nich nawet posłem został i emerytem w wieku trzydziestu pięciu lat. Podobno chce startować na prezydenta.

– Biutiful, fantastik! Jak on trenty fajf jers old i juś emerytur, to on barso pewno zmęcóny z powoda dużo seks. To jemu sze należy na prezydenta, on muszy ferst fensi men, znaci najważniejsi alfons of cała kantry!

Po rozmowie z Gdańskiem raptem zadzwoniła drogówka i zameldowała, że na parkingu pod Mariotem od około dziesięciu dni stoi nieopłacone, zamknięte, czarne BMW i parkingowy nie wie co ma z tym fantem zrobić.

Samochód był brudny i zakurzony, co nikogo nie zaskoczyło skoro stał pod gołym niebem, ale zdziwienie policjantów wywołał fakt, że miał on białostockie numery, po których sprawdzeniu oka-

zało się, że pochodzą one z jakiejś półciężarówki, powypadkowo złomowanej pięć lat temu.

O'Mlett z Charujem zabrali kluczyki od rzekomej beemki i pojechali pod hotel. Recepcja hotelowa przejrzała wykazy gości z miesiąca wstecz i nie znalazła nikogo legitymującego się nazwiskami Wyskrobek, Blagierek czy Picerczyk, a dostępna tego dnia obsługa nie przypominała sobie nikogo, kto pasowałby do zdjęcia, jakie jej okazano. Pozostałe dwie zmiany w recepcji miały być w pracy w godzinach późniejszych lub jutro, wobec czego Charuj pozostawił fotografię szefowi ochrony prosząc o ewentualną identyfikację.

Samochód stał w rogu parkingu i gdy jeden z policjantów oparł się o maskę to nie zareagował alarmem na kiwnięcie zawieszania. Przy kluczykach nie było przycisku od elektronicznego zamka więc O'Mlett spróbował otworzyć drzwi od strony kierowcy. Kluczyk pasował i zamek puścił bez oporów. Komisarz już miał zamiar wziąć za klamkę i otworzyć drzwi szerzej, lecz Charuj, tknięty nagle jakimś przecuciem, a może nauczony doświadczeniem powstrzymał go i wsunął w szparę między drzwiami a ramą tekturową teczkę do akt, w której nosił zdjęcia.

Ostrożność aspiranta okazała się usprawiedliwiona, bo okazało się, że od wewnętrznej strony drzwi pod fotel biegnie cienki drut, jakiego w ogóle tam być nie powinno. Odkrycie spowodowało ko-

nieczność wezwania policyjnego sapersa, bo trudno było przewidzieć, co znajduje się pod tym fotelem i czy przypadkiem nie jest to jakaś pułapka.

Pirotechnik zjawił się po godzinie, pokiwał głową ze zrozumieniem, obejrzał drucik, stwierdził że nie jest on przewodem elektrycznym i nie jest zbyt napięty, więc po prostu ostrożnie go przeciął.

– Ruski alarm. – Stwierdził wyjaśniająco. – Rekietyery potrafią nawet granat bojowy tak podłączyć, bo bardziej im zależy na efekcie i śmierci złodzieja niż na całości samochodu. Zawsze przecież mogą ukraść sobie drugi. Trzeba sprawdzić, czy po przeciwnej stronie nie ma czasem tego samego.

Po obejrzeniu okazało się, że nie ma, więc ekipa techników mogła przystąpić do przeglądania wnętrza. Pułapką na ewentualnego złodzieja okazał się nie granat lecz świeca dymna, której eksplozja na pewno zaskoczyłaby sprawcę kradzieży i zmusiła go do ucieczki, a jednocześnie nie zniszczyłaby pojazdu. Fotel w końcu można wymienić i raczej nie stanowi to problemu finansowego dla faceta, który mając niezłe BMW mimo to decyduje się na założenie takiego alarmu.

Odcisków linii papilarnych było od groma i ciut ciut, a większość z nich koncentrowała się na kierownicy, desce rozdzielczej, ma-

netce biegów, schowku i miejscach, do których najczęściej sięga kierowca.

Ekipa przejrzała samochód bardzo dokładnie i doszła do wniosku, że tutaj nic więcej zrobić się nie da, wobec czego przeholowano beemkę na parking policyjny i postawiono pod dachem. Tam, po przeszło trzygodzinnych badaniach, wykryto przemyślnie wykonany schowek w lewych tylnych drzwiach, w którym znaleziono 9 milimetrowego gloka z dodatkowym magazynkiem, dwa paszporty na nazwiska Jan Kowalski i Szymon Nowak, ale ze zdjęciami Benka oraz trzy dowody osobiste wystawione na te oba nazwiska i na Adama Bajera. Poza tym było tam jeszcze prawo jazdy na wszystkie możliwe pojazdy, należące również do Jana Kowalskiego, wystawione w Suwałkach i drugie, ale uprawniające tylko na kategorię „B”, sporządzone w Augustowie na nazwisko Józefa Stolarza. Wszystkie te dokumenty zaopatrzone były w zdjęcia Benka wykonane niewątpliwie w tym samym czasie.

– No to mamy do czynienia z osobistością wielopostaciową. – Z półuśmiechem bezradności na ustach stwierdził aspirant.

– Wisko dawa sze wyśledzać. – Lekko zawyrokował O'Mlett, nie dzielając sceptycyzmu kolegi. – Psieciątny Mechikan ma dziesięć imionów. On je Rodrigo, Migel, Antonio, Chesus, Guido, Manuel i jeście pęc.

– Tak, ale na ogół jedno nazwisko.

– I co z tego, jak on je albo Gonzales, albo Garsija, albo Fernandez? Może samtajm trafy sze Mendoza or Martinez. W Mechiko Sity więcej Fernandezy niś wśiskie żywe ludzie in dy Łorsou! Pśi-jeżdźuje do Stany taky illegalyty imigrant i dopiero maś duży problema żeby go śukać.

– Wszelako nasz czcigodny denat nazywa się Benon Blagierek, Leon Picerczyk, Jan Kowalski, Szymon Nowak, Adam Bajer i Józef Stolarz, a być może jeszcze inaczej, bo sami wyciągnęliśmy z jego kieszeni dokumenty na nazwisko Zenon Wyskrobek i uwierzylibyśmy w to gdyby ten półślepy emeryt wcześniej zginął rozjechany w wypadku i nie zgłosił się na policję w Kaczym Dole. Żadna autopcja nic by nie dała, bo nikt na wątrobie nie ma napisane jak się nazywa. To ja już wolę, żeby według dokumentów było wiadomo, że nazywał się zwyczajnie Fernandez i miał dziesięć imion, a nie siedem niepewnych nazwisk i cztery dowody osobiste. Od początku podejrzewałem, że to facet ze służb, a teraz chyba mam pewność.

– Siur. Jak powiemy inspiktoru i prokuratoru, że on ze służb, to dla nich wistarczy. Ważne, od ciego on deed, ci to killing i lasiego! I kto jego personal powieślał pod ziobro!

Tymczasem w poczytnym dzienniku „Rzecz najprawdziwsza” na pierwszej stronie ukazał się potężny artykuł pod wyfłuszczoneym

tytułem „Nowa próba wyciszenia prawdy” donoszący, że dwa tygodnie temu w okolicy siedziby jedynie słusznej partii znaleziono zwłoki bestialsko zamordowanego mężczyzny.

Przy zmasakrowanym ciele znaleziono podobno cukiermicze opakowanie zawierające bombki pistacjowe w czekoladzie, w których wykryto ślady trotylu i nitrogliceryny, co niedwuznacznie dowodzi, że w kieszeni płaszcza ofiary nastąpiła eksplozja niewątpliwie będąca przyczyną śmierci.

Zbulwersowany tym dziennikarz śledczy udowadniał w artykule, że nieudolna policja i prokuratura do dzisiejszego dnia nie potrafi nie tylko wyjaśnić tej ohydnej zbrodni, ale nawet ustalić tożsamości ofiary, choć podobno, jak kłamliwie informuje zdezorientowane społeczeństwo, znalazła przy niej pełen komplet dokumentów osobistych i kluczyki od jakiegoś, zapewne nieistniejącego samochodu.

Biorąc powyższe pod uwagę zaangażowany w sprawę żurnalista, notabene wybitny spec od wykrywania najprawdziwszej prawdy, doszedł do wniosku, że nieszczęśnika zamordowano skrytobójczo zupełnie gdzie indziej, a ciało podrzucono w miejsce jego znalezienia w celu zaplanowanego zagmatwania śledztwa i ułatwienia rządowi zamiecenia sprawy pod dywan.

W tej sytuacji prowadzący sprawę prokurator, mimo cechującej jego poczynania ostrożności, nie miał innego wyjścia i zwołał kon-

ferencje prasową, na której zdementował rewelacje gazety dowodząc, że wykrycie trotylu w pistacjowych bombkach w czekoladzie jest równie nieprawdopodobne jak określenie wysokiego poziomu zawartości stali wysokowęglowej w szpinaku.

Na ten oczywisty stek prokuratorskich kłamstw i matactw już po dwóch godzinach odpowiedziała jedynie słuszna partia zwołując własną konferencję z udziałem samego prawdziwego premiera na uchodźstwie i nadministra Wymacerowicza, na której dała zdecydowany odpór podłym insynuacjom prokuratora i jego zaplutyh z nienawiści mocodawców. No bo jakże można wierzyć rządowi, który od pięciu lat nieustannie perfidnie okłamuje zniewolone społeczeństwo, na co istnieją przecież rozliczne dowody.

No bo przecież bezcelne twierdzenie bez żadnych naukowych podstaw, że ślad trotylu nie może występować w pistacji i czekoladzie jako następstwo wybuchu bombek mija się z jakąkolwiek logiką, bo skoro ten ślad istnieje to znaczy, że bombki musiały eksplodować, a skoro łakocie wybuchły, to mogło się to stać wyłącznie w wyniku zbrodniczego zamachu.

Jest to więc kolejne kłamstwo szyte grubymi nićmi, następujące w całym ciągu poprzedzających je bezcelnych łgarstw, przeinaczeń i manipulacji zakłamanego rządu.

Twierdzono przecież, że nie będzie powodzi, a dwukrotnie była. Zapewniano, że jesteśmy zieloną wyspą, a wystarczyła jedna jesień żebyśmy się stali żółtą, a później całkiem białą, na co oczywiście rzekomo nadeszła zima nie miała wpływu i co w żadnym cywilizowanym kraju nie mogłoby mieć miejsca.

Wbrew uprzednim zapewnieniom i oczekiwaniom całego narodu nie wystąpiono do Watykanu o przyspieszoną kanonizację poprzedniego prezydenta i podłymi matactwami pozbawiono jego wielkiego brata bezwzględnie należnych mu uprawnień dy nastycznych, co jest największą zbrodnią w naszej tysiącletniej historii.

Celowo dążąc do pozbawienia narodu suwerenności, wolności i samostanowienia stworzono tu kondominium rosyjsko-niemieckie zamiast wypowiedzieć wojnę Roskom i zająć Smoleńsk zbrojnie w odwecie za dokonanie ohydnej zbrodni wymordowania elity prawdziwych patriotów, a przy okazji sporej liczby normalnych ludzi pod pozorem rzekomego braku możliwości zapewnienia tam właściwej pogody.

Perfidnie wprowadza się ludzi w błąd, że nie było w rozbitym samolocie żadnego wybuchu, bo przecież wszyscy na własne uszy słyszeli, że były dwie eksplozje, tylko nie pozostawiły widocznych śladów bo zbrodniarze użyli najnowocześniejszych środków wybu-

chowych, których istnienie znane jest tylko panu nadministrowi Wymacerowiczowi i jego nadprzyrodzonym ekspertom.

W ramach wcześniej uknutego współdziałania w zbrodni nie odebrano Ruskim wraku Tu-154 przez co uniemożliwiono wykrycie, że sztuczna mgła, w którą wleciał, zawierała rozpylony cyjanek potasu, truczkę na szczury i bojowe środki ograniczające logiczne myślenie u podróżujących osób na najwyższych stanowiskach, przez co Główny Pasażer zwlekał z podjęciem jedynie słusznej decyzji, czy lądować w gęstej mgle na nieprzystosowanym do tego, prymitywnym lotnisku, czy też zostawić tę kwestię w gestii pilotów.

Notorycznie przemilcza się, że we wraku, a szczególnie w saloniku widnieją rzędy dziur po seriach z kałacha i cały samolot już na ziemi kagiebowska straż pożarna siłami pięciu ludzi przekreśliła błyskawicznie do góry kołami i dokumentnie rozbiła na drobne elementy aby uwiarygodnić kłamliwą bajkę o katastrofie.

Od przeszło dwóch lat rząd bezczelnie wmawia narodowi, że na drodze nie mającej zamiaru lądować maszyny wyrosła nagle jakaś zmieniająca wysokość, teleskopowa brzoza, podówczas gdy w tym lesie żadnych drzew ani krzaków w ogóle nie było, lecz rosła na bagnie wysoka, miękka trawa, na której samolot powinien się tylko bezpiecznie pośliznąć, bo był przecież przerobionym bombowcem o pancерnej konstrukcji.

Rząd okłamał społeczeństwo, że wredni Niemcy nie będą nam już przypędząć z zachodu wichury zrywającej dachy, a w czasie turowskich rządów były już takie trzy, bo ten proniemiecki niby-premier nie umie pogonić tej całej Merkel, która na spółkę z Putinem dybie na naszą suwerenność.

Zapredani rządowi tudzież niedouczeni prokuratorzy i eksperci wojskowi w sprawie zamachu smoleńskiego notorycznie kłamią, że coś tam zbadali i coś ustalili, podówczas gdy w rzeczywistości w ogóle nie mieli dostępu do żadnych śladów i niczego nie widzieli, a wszystkie ich ekspertyzy i raporty są funta kłaków warte. Przecież nawet aresztowane przez Ruskich czarne skrzynki, których zresztą nie chcą nam oddać, zostały przez nich, ze złośliwości oczywiście, przemalowane na pomarańczowo.

Takie samo znaczenie mają przez nikogo, a szczególnie przez wiarygodnych prawdziwych patriotów, niepotwierdzone opowieści patologów o trudnościach identyfikacji ofiar, bo dla nikogo nie jest tajemnicą, że zostały one rozstrzelane, a sekcje robiono wyłączenie w celu zatarcia śladów zbrodni.

Jak więc teraz można wierzyć nieudolnej policji, skorumpowanemu prokuratorowi i niedouczonemu, lekceważącemu sprawę patologom, że znalezione ostatnio, bohatersko poległe zwłoki nie są ofiarą przynajmniej dwóch wybuchów pistacjowych bombek w czekoladzie.

Tak na marginesie to obiecywano również, że miała nas Unia prosić na kolanach abysmy przyjęli jakieś marne 300 miliardów dotacji, a tymczasem ta wroga nam Europa odgraża się teraz, że nawet tego nie da. Jak więc widać, zbrodniczo nieudolny rząd żyje samym kłamstwem, matactwem i degrengoladą, bo nam, Bożym wybrańcom i wiecznym cierpiętnikom należy się bez łaski pięć razy tyle.

– A to wsisko dowoduje ciego? – Retorycznie spytał O’Mlett po wysłuchaniu konferencji.

– Że rząd jest do kitu i należy go posadzić, a najlepiej powywieźć. – Twardo odpowiedział Charuj. – Co się zapewne stanie jeżeli pan prezes z panem nadministrem dojdą do władzy.

– Ja nie pitam o ogólnie apokalypsa, ale w nasie szledztwo ciego dowoduje.

– Niczego, bo o tym wszystkim wiedzieliśmy wcześniej. Nic się zmieniło, to tylko określa atmosferę. Co by się nie wydarzyło, to winien jest rząd z premierem na czele. Jeżeli pan prezes, co nie daj Boże, dostanie sraćki, to też winien będzie premier osobiście, a werdykt zostanie wydany eks katedra bez dociekania przyczyn, bo te są całemu narodowi doskonale znane, co jest oczywistą oczywistością.

– Na razie to ja mogę dostawać sraćki z psierażenia. – Ponuro stwierdził komisarz.

– Możesz, ale nie radzę, bo toaleta na pierwszym piętrze jest w remoncie. Na razie wiemy, że i prokurator i ekipa techników i my byliśmy na miejscu, ale wszyscy mieliśmy bielmo na oczach i nie byliśmy w stanie ocenić rzeczywistości. No i w świat poszła bezwzględnie prawdziwa informacja, że ciało zamordowanego znaleziono gdzieś w pobliżu, a użytkownicy rezydencji partyjnej pana prezesa nie mają z nim nic wspólnego. No i ten świat w to uwierzy i będzie przekonany, że to jest najprawdziwsza prawda, a nie te brednie, które opowiada skorumpowany prokurator. A jeżeli ty z tego powodu dostałeś sraczkę, to znaczy, że widocznie twoje jelito grube ruszyło sumienie i to jest normalna reakcja perystaltyki na ciężki grzech.

Podinspektor Przeciąg potraktował jednak sprawę racjonalnie i wezwawszy ich na dywanik zapytał bez wstępu:

– Wyście tam, znaczy, byli? No i coście, znaczy, jak to się mówi, narobili? O jakich bombkach pistacjowych oni mówią? Było tam coś takiego?

– Ni cholery! Przejrzeliśmy wszystko dokładnie! – Charuj wzruszył ramionami.

– To może ktoś zabrał przed waszym przyjściem?

– Może, nie wiemy, ale jeśli oni sami to znaleźli to kto w tych cukierkach wykrył trotyl, bo przecież nie nasze laboratorium! Chyba

że jakiś profesor od nich znalazł, ale nam nic nie mówili o żadnych bombkach.

– To co? Znowu jakieś nadprzyrodzone objawienie? – Podinspektor wyraźnie nie był przekonany co do rzetelności działań podwładnych. – Tu nie Smoleńsk żeby się cuda zdarzały, musiało coś być w tej paczce!

– Nie biło żadna paćka, ser! Ta nius, znaci ten cały for pres ynformejyszyn barso nieprawdżywe, ser! To tipowy wpuścianie pouli-smen w truskawki! – Z mocą wyjaśnił O’Mlett licząc, że przełożony jednak mu uwierzy.

– W truskawki? Chyba w maliny! Prawda czy nie, ale opinia publiczna, wiecie, rozumiecie, tym żyje. Trzeba coś, znaczy, pokazać, wyjaśnić te, znaczy, wątpliwości! Kto to jest ta ofiara? Jak się tak będziemy ślimaczyć, to zawsze się znajdzie jakiś pismak, co wie lepiej! Na przykład, że we wraku pod Smoleńskiem wykryto ślady ruskiej bomby atomowej! Wszyscy niby wiedzą, że to bzdura, ale fama w narodzie żyje. A wy, proszę ja was, co? Kombinujecie, kombinujecie i nic!

– Ale my mamy związane ręce. – Z pasją, ale z konieczności dobierając słowa zaoponował Charuj. – Jedyne słuszne, patriotyczne siły twierdzą, że autopsja i badania są zmanipulowane, świadkowie przekupieni i niewiarygodni, a skorumpowany prokurator celowo

odwraca kota ogonem. Z takimi argumentami nie można walczyć, bo czego byśmy nie wykryli to wszystko będzie kłamstwem szezronym dla celów politycznych! Prawda jest taka, że niezidentyfikowany facet o podejrzanej profesji w dziwnych okolicznościach zginął na ich terenie i najprawdopodobniej był im dobrze znany. Czy chce pan, żebyśmy tę prawdę ogłosili?

– Czyście zwariowali, Charuj? – Zaryczał podinspektor. – Na mózg wam padło? Chcecie wywołać wojnę domową?

– No to wobec tego co mamy zrobić? Nawet nie możemy normalnie wsadzić mordy w kubek i stwierdzić, że nic się nie stało i nie było żadnego trupa, bo oni sami podali, że znaleziono ciało i to jeszcze z jakąś miną przeciwpiechotną w czekoladzie, co już jest kompletną bajką wyssaną z palca. Czego byśmy nie wykryli, to będzie źle. Jak w tragedii, cholera, antyecznej!

– Ale tu nie żadna Antygonia ani średniowiecze, opanujcie się, Charuj! Mamy, znaczy, panie tego, siły i środki, to trzeba, znaczy, działać!

O'Mlett raptem parsknął krótkim, stłumionym śmiechem, co zdarzało mu się bardzo rzadko, a już nigdy w obecności przełożonych.

– Co wam, kolego, tak wesoło? – Z niesmakiem zapytał podinspektor.

– Ja miał taki drim, znać szniło sze, że ja w szredniowecze. Ale sory, to nieważny.

– No powiedzcie, powiedzcie, niech i ja się pośmieję.

– No topsie. Sznyło się, że my oba z Charuj w szredniowecze lid... znać prowadzjemy szledztwo, co sze jeden prins powesił za ziobro na źirandol jak Janoszyk.

– No i co? – Mimo groteskowości opowieści zainteresowanie podinspektora wyraźnie wzrosło. – Wykryliście?

– Nou.

– A czemu?

– Bo sze obudziłem. Charuj mówy, że ja muszy dalej tu slip, to może sze wyjaszni.

– Ale przynajmniej jakieś podejrzenia mieliście w tym śnie? Jakiś skojarzenia, jakaś podświadomość u was, kolego, zadziałała?

– Yes, my podejźiewa, że może on chczał osobisto wymieniać żarówkę, wchodzy nogamy na trona, spadywa i bach!

– Żarówkę w średniowieczu? – Tym razem podinspektor Przeciąg parsknął śmiechem. – No dobra, bicza z piasku, panie tego, nie ukręci. W każdym razie wynika z tego snu, że zakładaliście chyba, he he, nieszczęśliwy wypadek. I ten księżę z waszego snu sam się tak musiał nieszczęśliwie wieszać? Nikt inny nie mógł wkręcić

tej, he he, żarówki? Nie było żadnego, panie tego, szambelana, ani nawet, he he, nadwornego, znaczy, elektryka?

– Kedy not ajdentyfykejszyn. Nie wiadome, ci ta trupa, znać ofiar, to prins, ci może kto całkiem drugi.

– Nie rozpoznali go w tym waszym śnie? He he he, to już zupełna paranoja! Nie było tam nikogo, co by go znał?

– Pewno byli takie. On miał for prajwet sekiurity dwadzieścia ćtery bodygardy arming w duże halbards na tsi zmiany, a po szmerci ci pilnowa go jeście ćtery endzels w takej pywnicy.

– No no, nawet w piwnicy anioły z halabardami! Mnie za komuny na tajnej religii uczyli, że prawidłowy anioł to powinien być z ognistym mieczem. Ja, znaczy, widzę, że ze szczegółami wam się, kolego, wyśniło! Powinniście bajki pisać, zrobilibyście karierę, bo teraz dzieci lubią taką makabrę. No, pośmialiśmy się, ale nasza sprawa to nie stary, średniowieczny trup z żarówką tylko prawdziwy problem. A tak między nami, to może, kolego, poszlibyście do psychologa, bo jak wam się, panie tego, takie rzeczy śnią... Przemęczeni jesteście? Może po tej sprawie urlop jaki weźmiecie? A na razie to kończcie, bo tak dłużej wicie, rozumiecie, nie można. W tę albo w tę!

Zdegustowani O'Mlett z Charujem powrócili do odrapanego biurka w swoim pokoju aby zająć się intensywnym myśleniem nad

problemem, którego rozwiązanie wydawało się z wielu przyczyn kompletnie niemożliwe. Aby dowiedzieć się czegokolwiek musieli by bowiem wygrać ciężką wojnę polityczną z przeciwnikiem, który nie przebierał w środkach, a każdy błąd z ich strony mógłby narazić ich na nieodwracalną klęskę.

Sytuacja wyglądała niemalże jak bitwa pod Warną, gdzie pozbawione wsparcia logistycznego rycerstwo, zmuszone do zerwania zaprzysiężonego rozejmu z przyczyn religijno-ideologicznych i pozostawione w sytuacji przymusowej zdecydowało się stawić czoła bezwzględnemu przeciwnikowi.

Tutaj, co prawda, nie bruździł i nie zmuszał ich do nierównej walki żaden kardynał Cesarini, ale mieli przed sobą przeciwnika, którego skryty, odwieczny kontynuator polityki tego kardynała skutecznie popierał. Poza tym przeciwnik miał w nosie wszelkie prawo i sprawiedliwość, które notorycznie obrażał nosząc je jednocześnie na sztandarach.

– Charuj, ty mi powiadaj. – Odezwał się O’Mlett po kwadransie milczenia. – Ci inspiktor źici, żeby my odkrywa prawda, ci on źici, żeby my dali mu samszing... znaci cosz polityčno obojętne. Znaci ni w te, ni w te. Jak ty uważujesz?

– Lepsza byłaby prawda, a dodać do tego taką polityczną alternatywę. Niech sobie sam wybierze. A ty masz jakąś koncepcję?

– Not. Prawda to my mu dawa i on nam ochśaniał, że robym siwil łor!

– No to wypada znaleźć jakieś gładkie, polityczne kłamstewko, tylko problem w tym, żeby się nie dało go podważyć i żeby prokurator na to poszedł.

– Zostawa problems, aksident or saobójec. Killing polytyčno imposibił. Jeście zapytanie hu is deed, jaky nejm tego trupu. Nie można podawa wśiskie nazwiski, bykoz not profesjonal dżob!

O'Mlett wstał z za biurka i zaczął chodzić po pokoju bo widocznie jego wymęczone szare komórki podświadomie dopominały się jakiegoś pobudzenia ze strony reszty mało aktywnego organizmu, ale w pewnym momencie stąpnął widocznie jakoś krzywo, zachwiał się, potknął o wystającą nogę fotela i runął potężnie udeżając głową o stalową szafę na akta.

Szafa, choć ciężka sama z siebie i jeszcze dodatkowo wypchana stertami papierów, zatrzęsa się mimo to jak w paroksyźmie, a z jej stalowego zwieńczenia spadła plastikowa, otwarta butelka z płynem do czyszczenia fornirów, pozostawiona tam zapewne przez niechlujną sprzątaczkę, i wylała swą zawartość na głowę i ramiona O'Mletta.

Charuj zerwał się z krzesła aby go podtrzymać, ale po kilku sekundach zorientował się, że komisarz nie reaguje na bodźce, więc chwycił za słuchawkę i zadzwonił do ambulatorium.

Lekarz zabronił go ruszać i przybiegł po trzech minutach. Stwierdziwszy, że O'Mlett oddycha, mruga powiekami, a z jego gardła wydobywa się jakiś dźwięk dający się odczytać jako „kiurwa macz”, przy pomocy aspiranta posadził komisarza na fotelu i zaczęła obmacywać mu stłuczoną potylicę i świecić latarką po oczach.

– Jak się czujesz? – Zapytał zaniepokojony Charuj obserwując przybierającą już normalne barwy twarz przełożonego, choć w dalszym ciągu wydawało mu się, że komisarz sprawia wrażenie totalnie rozkojarzonego.

– No problem, ale ci on mne udeżał po hed tym halabardem? – Spytał O'Mlett patrząc z dezaprobatą na lekarza. – Uer is maj gan?

– Broń masz w szafie, ale po cholere ci kopyto, to jest doktor, człowieku! O czym ty gadasz, o jakiej halabardzie?

– Ile palców pan widzi? – Spytał lekarz podsuwając O'Mlettowi pod nos rozczapierzoną dłoń z przygiętym kciukiem, lekko zaniepokojony poszukiwaniem przez pacjenta służbowego pistoletu.

– For. – Ze zdziwieniem odparł komisarz wzruszając ramionami.

– A teraz?

– Tu!

– A nie widzi pan czasem podwójnie?

– Noou. Prisajs pojedyncio. Tu findzers jak u prezesa. co ogłaśa, że on najważniejsi uiner!

– No to na oko w porządku. Jakby miał zawroty głowy czy mdłości albo w ogóle coś było z nim nie tak, to zaraz dzwońcie! – Zaordynował medyk zwracając się do Charuja. – I niech siedzi na dupie i nie macha głową bez potrzeby. Pewnie to tylko chwilowe, ale lepiej dmuchać na zimne. Musiał zdrowo przypakować łbem w tę szafę, ale objawów wstrząsowych póki co nie widzę.

– O co ci chodziło z tą halabardą? – Spytał aspirant gdy zamknął drzwi za wychodzącym lekarzem. – Już się przestraszyłem, że coś z tobą nie tak i sięgniesz po giwerę! Chyba lekko odpłynąłeś po tym walnięciu.

– Taak? A jak dużo tajm ja bił aut?

– Krótco, może parę minut. Zresztą nie wiem, na zegarek nie patrzyłem, ale dłuższa chwila upłynęła zanim ten doktor z dołu tu przyleciał.

– Popać! A mi sze wydawa, że dugo dugo, tyle sze zdarziwało, co na jaki teater spektakl albo może na jaki duży sirkus.

–A co konkretnie?

– A tam, take gupoty.

– No powiedz, co ci zaley! Jak tobie snią się gupoty, to to się potem na ogół po części sprawdzają. Mógłbyś robić za Wernyhore albo za jakiegoś Nostradamusa. Nawet inspektor zauważył, że masz sny prorocze! No, gadaj!

– Naperw ja muszy pręko pi pi. Ty ciekaj!.

Komisarz wypadł za drzwi, a Charuj zastanawiał się, co go tak nagle przyparło, no bo chyba nie walnięcie głową o szafę, jako że uprzednio nie wykazywał żadnych symptomów konieczności nagłego skorzystania z toalety. Gdy po trzech minutach O'Mlett wrócił, aspirant odetchnął z ulgą, że przełożony nie zastał gdzieś nad pisuarem i ponowił żądanie kontynuacji opowieści.

– Ulżyłeś sobie? No to zeznawaj wszystko po kolei.

– Topsie, ale nie turluj się od śmiecha, bo ci zaškodzi. Uan endzel bodygard udeżał maj hed swoja halabarda i on ksika, że ja nie dawa naszional fader pręko smartfichšti... smartwo... no, ... smartiwistować...

– Zmartwychwstać? – Z niedowierzaniem spytał Charuj.

– Yes! Ale on wcale nie muszy smartwistawić bo on całkiem żywy! Ony mi obiecywa, że on mi zroby grent an audiens!

– Jak to żywy? Zombi?

– Może zombi. Aj dont nou, ja sze nie znam na żadne goust i take różne... Ale ony ksićą, że nesesery jego ekshumować...

– A po cholere żywego ekshumować? To on w końcu żyje, czy trzeba go ekshumować żeby zmartwychwstał? I ten ekshumowany miał cię przyjąć na audiencji? Nic z tego nie rozumiem!

– Ja teś.

– No dobra, niezbadane są wyroki... I co dalej? – Zaciekawienie aspiranta sięgnęło zenitu.

– No to ony, te endzels, mię wzięli i powesili na weszak in dy klaukrum... znaci w ta śatnia żeby ja wisychiwał, bo bił mokri, a taky nie dużo eligant to czif nie psijmie.

– Człowieku, co ty pier... Czy ciebie na pewno głowa nie boli? Może wezwać tego doktora?

– Nie boluje. Chczależ żeby ja mówi, to nou nie myślaj że ja krejzi. Drim is drim!

– Dobra, przepraszam. No to powiesili żebyś się podsuszył, bo bez tego ekshumowany czy też zmartwychwstały prezes nie udzieli ci audiencji. Kompletna paranoja ale załóżmy, że tak ma być. No i co było dalej? Przyjął cię jak wyschłeś?

– Jak wiszałem to chczależ szuszu i prokurator mówy mi cicho do ucho, że toalet jest na dachu, ale cieba wychodzy aut na ulyca, do bilding obok i z onego in dy lift ap, potem z dacha na drugi dacha. A kluć od toaleta ma żećnik prasowy i cieba do niego pisać podanie, a on za tu uiks odpowie pod warunek, że prezes prośba zatwierdzi after konsaltejszyn z rada polityčna!

– To mi wygląda na podświadomość, bo chyba już przedtem chciało ci się siusiu tylko jeszcze nie kojarzyłeś. I co? Poszedłeś szukać tego wuce na dachu?

– Nie wiem, bo mię ten doktor zaciął szwecić po ościach, to siem obudżyłem.

– Cholera! Że też pospieszyłem się z wezwanem tego doktora! – Charuj zaklął jak szewc. – A mielibyśmy sprawę rozwiązaną! Bo jak pospałbyś jeszcze trochę, to może by cię prezes czy w ogóle ktoś tam przyjął i coś by się wyjaśniło.

– Jak biłem mokry i niewyszuszany, to myślisz, że by mię psijał? Bez pysania podania do żećnika o skożistanie z dablju si?

Aspirant opadł plecami na oparcie fotela i zagłębił się w rozmyślaniach, ale po paru minutach twarz rozjaśniła mu się nagle i odetchnąwszy głęboko stwierdził z przekonaniem.

– Szefie, jesteś wielki jak różowy słoń! Ciebie trzeba czytać jak Nostradamusa, nie dokładnie, lecz przypowieściami, alegoriami i od razu wszystko robi się bardziej jasne.

– Lasiego?

– No bo żebyś nie wpadł łbem na szafę to nie dostałbyś podczas tej przerwy w życiorysie wyśnioną halabardą w czerep, nie wylałbyś tego kompotu do higieny biurowej i te cichociemne anioły nie musiałyby cię suszyć. Część z tego jest prawdziwa, a część nie, ale razem to jest ciąg logiczny, a skoro tak w tym śnie postąpiono z tobą, to podobnie mogli potraktować tego gościa, cośmy go znaleźli na wieszaku.

– Załóśmy, że mogli i co z tego wynika? – O’Mlett dalej nie traktował swego snu poważnie.

– A to, że nikomu poza nami nie zależy na rzetelnym wyjaśnieniu tej sprawy. Nowogrodzkiej nie zależy bo z jakiegoś powodu od początku maści jak może, prokuraturze nie zależy bo jakakolwiek prawda wywoła reperkusje polityczne, inspektorowi nie zależy bo wolałby zgasić sprawę bezboleśnie i nikomu się nie narazić. Tylko jeszcze nam ciut zależy, więc trzeba zastanowić się, czy ciągnąć dalej ten wózek tylko dla idei.

– Ty chcesz, żeby my wykrywali nieprawdę? – Ze zgrozą w głosie spytał komisarz.

– Skądże! Ja chcę żebyśmy istniejące fakty zinterpretowali w taki sposób, że będzie wilk syty i owca cała. Po tym prokurator będzie mógł umorzyć śledztwo, które zawsze można wznowić jak pojawią się nowe dowody. Dokumentację schowamy do szafy i będzie czekać na lepsze czasy. W pewnym momencie gdzieś pęknie ta partyjna omerta. Inspektor też odetchnie, że mu nie wisi nad głową miecz Demoklesa.

– Ale to not profesjonal...

– A będzie profesjonalnie wywołać trzecią wojną światową na dwanaście fajerek? I kto na tym skorzysta? Jedynie ewentualny zleceniodawca i zabójca tego denata, a poza nimi nikt, a już najmniej my!

– Nasia klar konszens, znaci cisty prawda wewnątrz!

– Sumienie? Człowieku! A co wspólnego z sumieniem ma to, co mówią i piszą ci faceci. Ja ci nie proponuję kłamstwa tylko interpretację prawdopodobieństwa w oparciu o ich własną filozofię.

– No dopsie, ty mówi, a ja rozważuję. – O’Mlett westchnął jak ciężarny wieloryb.

– W porządku, no to było tak: Znaleźli na ulicy jakiegoś, nieznanego im faceta leżącego na deszczu i w ramach poszanowania wartości chrześcijańskich wzięli go do środka i powiesili w szatni żeby nieco obsechł. Wtedy z kieszeni wypadła mu paczka bombek pistacjowych w czekoladzie nadziewanych, jak się później okazało, trotylem i nitrogliceryną...

Komisarz zaczął parskać, a później wyć ze śmiechu, co zdarzało mu się bardzo rzadko.

– Nie rechocz jak prosty włościanin tylko słuchaj. – Zaoponował Charuj – No to wypadła ta paczka, to ją, ma się rozumieć, zneutralizowali żeby zapobiec niekontrolowanej eksplozji w pomieszczeniu zamkniętym albo jakiejś innej brzydkiej prowokacji ze strony ewentualnych przeciwników politycznych. Mogło tak być czy nie?

– Yes, he he he, krejzi! He he he, paranoja! He he he...

– No, sam widzisz, że mogło. Potem wezwali policję bo raptem zauważyli, że facet nie żyje, a oni są przecież strasznie praworządni

i do głowy by im nie przyszło by odnosić trupa w miejsce, gdzie go znaleźli, bo mogłoby to być uznane za profanację zwłok i naruszenie dóbr osobistych jego duszy. Ale niedorozwinięta umysłowo policja nie mogła ustalić najprawdźszej prawdy bo nie umiała dogadać się ze służbą porządkową, która go wniosła do budynku. Stan osobowy tej Bogu ducha winnej służby składał się bowiem z samych głuchych i częściowo niewidomych pracowników, o czym świadczyło noszenie przez nich ciemnych okularów, zatrudnionych z litości w ramach przeciwdziałania bezrobociu i pomocy niepełnosprawnym. Instytucja nie dysponowała, niestety, etatem dla tłumacza języka migowego więc ochroniarze nie zostali przesłuchani, przy czym pracodawca nie ponosi w tym przypadku żadnej winy. Możliwe, że tak było czy nie?

O'Mlett nie odpowiedział, bo właśnie jęczał trzymając się za brzuch i nerwowo chwycił powietrze.

– Cieszę się, że się ze mną zgadzasz. – Kontynuował aspirant.
– Pomimo szeroko zakrojonych działań nie udało się nam ustalić tożsamości denata, ale mimo to materiał jest na tyle bogaty, że niewielka cegiełka w tej układance, której, niestety, jeszcze nie mamy, być może pozwoli na domknięcie śledztwa. Śmierć denata, jak ustalił patolog, nastąpiła w wyniku odniesienia głęboko penetrującej rany kłutej w lewym podżebrzu, ale dokładnie nie wiadomo

kiedy ją zadano i czy brały w tym udział osoby trzecie, bo sam fakt wiszenia denata za żebro na stojaku w szatni jeszcze o niczym nie świadczy i teoretycznie może być skutkiem przypadkowego zabójstwa jak i nieszczęśliwego wypadku. W tej sytuacji wnioskujemy o czasowe umorzenie sprawy.

Komisarz siedział w swoim fotelu i ciężko oddychał.

– Ofiar co leży na ulica, a potem sze go psipadkowo wieśa za żebro? Grimm braders w porównaniu z tobą to książećka do nabożeństwo. – Powiedział w końcu demonstrując przeponą napadowe paroksyzmy przypominające pijacką czkawkę. – Jak by ja w Stany take napisał for czildren, to by ja był milioner.

– Czego rechoczesz? To wszystko to supozycja, adekwatna do sytuacji, do wspaniałego gówna, w które wdepnęliśmy i do sposobu rozumowania środowiska, z którym mamy do czynienia. Jestem przekonany, że rzecznik prasowy z Nowogrodzkiej takiemu rozwiązaniu nie zaprzeczy, a nawet przykłaśnie wszystkimi czterema łapami.

– Ale w tym nie ma jednego kropla prawdy!

– Mimo to tobie się wyśniła i to dwukrotnie. „Co to jest prawda?” zapytał Piłat Chrystusa. A dwa wybuchy, nieistniejąca ponoć brzoza i sztuczna mgła pod Smoleńskiem to jest prawda? A w mojej bajkowej koncepcji może i nie ma prawdy obiektyw-

nej, ale za to jest nadzieja na święty spokój, a co jest dla Ciebie więcej warte?

– Charuj, ju ar konformist!

– Możliwe, ale usiłuję działać w imieniu przynajmniej połowy populacji, która ma w dupie następną wojenkę o pietruszkę.

– Dopsie! A nie wistarczy napisać wnioska o umówienie z braku dowodów, bez ta cała baječka?

– Można, ale wówczas nie zaspokoimy żadnej ze stron. A tak jedni będą zachwyceni wyjaśnieniem po ich myśli, a drudzy prawidłowo odczytają to jako kpinę i co najwyżej będą się turlać ze śmiechu, a my zawsze możemy powiedzieć, że oparliśmy się na udzielonych nam wyjaśnieniach i częściowo wzięliśmy pod uwagę interpretacje medialne, co zamknie usta wielu zawodowym krytykom.

O'Mlett zachnął się lekko, ale skomentował to w miarę spokojnie: – W żaden cywylyzowany kraj dżadz nie dawa akcepta for taki alternatiw. – Powiedział prawie bez emocji. – Jeżeli dowoda uzy-skiwa sze ligl, to on ważny for proses i żadny bajka nie ważniejsi.

– Taaak? A w RPA właśnie wypuścili za kaucją faceta, co niby niechcący, przez przypadek wpakował sześć kul w swoją narzeczoną, i to w dwóch ratach, a poza tym rozwalił jej głowę kijem do krykieta, bo podobno nie wiedział kogo masakruje! I sąd się cięż-

ko zastanawia, bo delikwent twierdzi, że to przez pomyłkę, a on jest święta Cecylia. Po prostu nie odróżnił fertycznej narzeczonej, z którą dopiero co spał, od stukilowego Murzyna, który rzekomo wlaź przez okno by obrobić mu kasę. No to w tym kontekście nasza dziwna interpretacja to bułka z masłem. A jakąś przyczynę decyzji o umorzeniu podać trzeba.

– To tylko napisać, że z braku dowodów, a inspektora powiedzieć ustno.

– Z tego wynika, że generalnie zgadzasz się wnioskować o zamknięcie tej sprawy? – Spytał Charuj z ulgą w głosie.

– A mamy jakiego drugiego alternatywa?

– Moim zdaniem, przy dzisiejszych dowodach, nie mamy. Wiesz co? Późno jest, prześpijmy się z tym, i tak nie ma co o tej porze molestować inspektora, to rano wrócimy do sprawy.

Następnego dnia O'Mlett przyszedł do komendy jakiś błąd, wyraźnie wypluty i rozpoczął dzień od dwóch potężnych kaw.

– Głowa cię nie boli po wczorajszym? – Spytał zaniepokojony Charuj obserwując bardziej ponurą niż zwykle twarz przełożonego.

– Nou. Głowa w pozątku, ale drim taky miałem, no, jak to sze po polsku naziwa... najtmeriś... znaci kośmar. Niby aj em slip, a że-ćwisto nou slip i juś całkiem nie rozume!

- Znów ci się coś śniło? To opowiadaj! Każdy twój sen to co najmniej poszlaka!
- Aaa, take rabbiś, co ja mam tok nonsens.
- No mów, co ci zależy? Jak na razie, co ci się nie wyśni, to się w większości sprawdza!
- Ty pomysli, że ja kretin...
- Człowieku, prędeż wszyscy naokoło to kretyni, ale nie ty!
- Dopsie, ale tejk is jako dowcipa. Znowu biło midl ejdż, znaći sredniowiecie i wybory na nowy papeża.
- Rany Julek, u nas? Nie w Rzymie ani nawet w Awinionie, jeśli to średniowiecze?
- Aj dont nou. Chiba tak, bo były dwie kandydaty, oba od nas. Prawdzywy Ociec Narodu i Praociec Dyrygent, ale on miał litl śans, bo nie miał brata szwętego męściennika.
- No i co dalej? – Ciekawość Charuja sięgnęła zenitu.
- No to prawdzwemu Oćcowi kardinals powiedzieli, że jak on chce być szwenty papeś, to on najperw muszy umżeć, di a natural deed albo from a uound, cili od zranienia, ale nigdy baj uans oun hend, znaci w żadnym psipadku od swoja ręka samobójec! Ale najdziwniejsie to, że ony mówili po łacinie, a ja ich dopsie zrozumiał!
- Takie coś to się we śnie notorycznie zdarza. Ale jak ci kardynałowie mieli mu to powiedzieć, niezależnie od języka, jak on

leży w piwnicy w charakterze trupa i aniołowie z halabardami go strzegą? Co prawda miał zmartwychwstać i ty mu w tym ostatnio przeszkadzałeś, za co chcieli cię powiesić za żebro, ale nie wiadomo czy rzeczywiście ożył, bo tobie akurat w tym czasie zachciało się podobno siusiu.

– Chiba on muszy trochę żywy, jak startuje w konklawe. Bardziej mnie w tym snowym kośmaru zdziwiło, że świecki ćłowik i na papieża? – Widać było, że komisarz własny sen potraktował nieco poważniej, skoro zaczął rozpatrywać argumenty natury prawnej, choć uprzednio zastrzegał się, że to wszystko tylko senne idiotyzmy.

– Wydaje mi się, że były już w historii papiestwa takie przypadki. – Poważnie wyjaśnił aspirant, – że nowo wybranego papieża natychmiast po obiorze wyświęcano na kapłana i pięć minut potem dawano mu sakrę biskupią. Przecie arcybiskupów z paliuszami było na tym konklawe jak mrówek więc z wyświęceniem kogokolwiek nie istniał żaden problem. Ja się tam dokładnie nie znam na tych wszystkich zawłościach, ale ponoć jest to całkiem zgodne z kanonami.

– Ale psied wyborami na papieża musieli temu kandydatu chiba dla pewnoszczy ochrzcić żeby potem nie wišto, że on na psikład pagan albo jaky Musalmen. – Ponuro stwierdził komisarz i nie było wiadomo, czy mówi poważnie czy żartuje.

– Pewnie wierzyli mu na słowo, że chrzczony. W dawnych czasach parafie raczej nie wystawiały wszystkim owieczkom zaświadczeń z pieczętką. A wracając do tematu to kardynałem mógł zostać praktycznie każdy, byleby miał dobre poparcie polityczne, a przede wszystkim finansowe. Kuria rzymska z tego miała zresztą niezły dochód. Dla przykładu kardynałem był królewicz Ferdynand, syn króla Kazimierza Jagiellończyka i polski król Jan Kazimierz, młodszy syn króla Zygmunta III Wazy, ale ten przynajmniej przez pewien czas był jezuitą, choć nie wiem, czy miał jakieś święcenia. Był albo przynajmniej miał być kardynałem również francuski ojciec królowej Marysieńki, żony króla Jana III Sobieskiego, ale ten to już na pewno nie był duchownym, chociaż jako pijak i babiarz idealnie by do tego stanu pasował. No to niby dlaczego nasz prawdziwy ojciec narodu nie miałby zostać papieżem? Nawet nie jest żonaty więc nie miałby kłopotów z celibatem, prawa jazdy nie ma więc nie pchałby się do papamobile za kierownicę, bo i tak nie sięgałby nogami do pedałów. Co najwyżej mógłby zechcieć z salonika pilotować we mgle papieski odrzutowiec jako zwierzchnik sił zbrojnych pasiastych halabardników. Przyzwyczajony jest do tego, że ośmiu goryli z długą bronią nieustannie za nim łązi i nawet do wygodki samego bez ochrony nie wpuszcza, więc tryb życia bez przerwy na podglądzie jest mu znany z autopsji. Języków to podobno zna do

cholery i ciut ciut, tylko z wrodzonej skromności tego nie ujawnia i w żadnym z nich złamanego słowa nie powie aby nie być zmuszanym do niegodnej prawdziwego patrioty wypowiedzi po rosyjsku, po niemiecku lub, co gorsza, po hebrajsku albo w jidisz. Czasem tylko wtrąca jakąś tylko jemu znaną, obcojęzyczną maksymę ni z gruszki ni z pietruszki, albowiem jak lud prosty czegoś nie zrozumie to niewątpliwie uzna to za nieskończenie mądre. No dobra, rozgadaliśmy się i nie powiedziałeś w końcu, co ci się dalej śniło!

– No, że Prawdzywy Ociec wigrał wibory.

– Na papieża? Ooo, kurza twarz, ale numer!

– Nou, nie na papieża. On uiner jako dy king end najważniejsi in dy parliment. On roby nowy żont uit swoje kings pracownyki.

– Znaczy, że żyje! – Charuj zareagował tak, jakby sen O'Mletta był realną rzeczywistością. Widać wierzył w jego prorocze znaczenie. – Czyli że zrezygnował tym razem z uczestnictwa w konklawe. A jak ty się o tym jego wyborze we śnie dowiedziałeś?

– Aj dont nou, tak jakoś... no... normalno. Wiedziałem i juś!

Aspirant westchnął, bo liczył zapewne na jakieś szczegóły, ale i tak poczuł się usatysfakcjonowany, choć jednocześnie nieco przerażony wynikiem. – Słuchaj! – Powiedział do przełożonego siadając głębiej za biurkiem. – Jeżeli on wygrał i został królem, to całe

nasze śledztwo nie ma znaczenia, bo wynik, jaki by nie był, i tak nigdy nie ujrzy światła dziennego, więc po cholere się męczyć.

– Ale to jest only drim! – Zaoponował O’Mlett. – Nou rial psi-padek!

– Dzisiaj tak, ale jutro on rzeczywiście może wygrać! A jak wygra, to cała realność we wszystkich dziedzinach przestanie istnieć i zacznie się nieprzewidywalna dyktatura i ślepa zemsta na przeciwnikach! Nie miej złudzeń! Naprawdę wszystko jedno, czy coś ustalimy, czy nic. Ja proponuję wnioskować o umorzenie albo przynajmniej zawieszenie z powodu nieustalenia tożsamości ofiary i sprawców oraz braku dowodów. Nikogo nie narazimy na udział w otwartej wojnie, a to lepsze niż polec z honorem dla złudnej idei.

– Ispiktor powi, że my krejzi, że wieżimy w bajka!

– Nie powie, bo sam nie wie, co robić. Przecież ślepy nie jest i widzi co się dzieje. To jest moim zdaniem najlepsze rozwiązanie, przynajmniej na teraz, a później się zobaczy. Na razie twoje sny się sprawdzają, a im straszniejsze tym bardziej!

Podinspektor Przeciąg przyjął ich decyzję z kwaśną miną, ale zasadniczo nie oponował.

Nie powiedzieli mu oczywiście o ostatnim śnie O’Mletta, bo wzmianka o udziale Prawdziwego Oćca w konklawe równałaby

się w idiotyzmie informacji o jego starcie bez prawa jazdy w wyścigach formuły pierwszej, a to, mimo ogólnonarodowego przekonania o jego wszechwiedzy i wszechmocy, zakrawałoby już na przesadny nadmiar zaufania.

Początkowo przełożony patrzył, co prawda, nieco dziwnie na O'Mletta jakby oczekując, że ten nagle wyjawi jednak jakąś senną rewelację i być może poprze ją racjonalnym dowodem, ale gdy to się nie stało, to w miarę upływu czasu jego zainteresowanie gasło jak tandetny znicz pod płotem na Krakowskim Przedmieściu.

– Znaczy wiecie, rozumiecie, to nam wybitnie obniża średnią.
– Powiedział w końcu z westchnieniem. – Ja, wiecie, rozumiecie, rozumiem trudności, ale one od tego są, by je, znaczy, pokonywać, a nie tak, panie tego, tylko po łebkach!

– My nie zamy, hu is łepki. – Spokojnie przypomniał O'Mlett.
– Ono posiada fajf nejms. Ono żadna famyły, żadna siwi, żadna real kontakts. Jak jaky goust, wery nadpsirodzony.

– I do tego sam się powiesił w szatni za ziobro! – Z pasją dodał Charuj.

– A to teś nieprawda, bo to imposibił... znaci nemożliwo. – Uzupełnił O'Mlett. – A w ta szrednia, co sze obniżuje, to dużo u was taka ćarny magia, ser?

– Krótko mówiąc, znaczy, wiecie, rozumiecie, nic nie wiecie! – Stwierdził podinspektor, ignorując równocześnie drugą część pytania.

Bezradne wzruszenie ramionami było jedyną odpowiedzią, po której zapadło wymowne milczenie.

– No, dobra. – Po dłuższej przerwie niechętnie wydyszał przełożony. – Ale ja rozumiem, że dokumentację jakąś macie? Meldunki, zeznania, raporty? No bo w razie, znaczy, wznowienia, to, wiecie sami, rozumiecie, żeby było z czego, a nie spod dużego palca...

– Oczywiście, grubą tekę.

– No to schowajcie i pilnujcie. Może nadejdą lepsze czasy.

– Siur, nesesery! – Zapewnił O'Mlett. – Barso się psida jak będą robyć proses na szwentego, cili kanałi... kanało... jak to po polski?

– Kanonizować?

– Yes, siur.

– A kto miałby być kanonizowany? – Zainteresował się podinspektor.

– Aj dont nou. Może ten ofiar, co ma pięć nazwisków, a może uiner co wigra wybory, bo go prajwet archangels pilnują. Tu nie nudne JuEsEj, tu wsisko możliwo! Mnie tu juś nic nie zaskacza, ja dmuchuję na żymne.

– Widzę, że znowu coś się wam, wiecie, rozumiecie, przyśniło, panie kolego. – Skrzywił się przełożony, co u niego miało oznaczać

powściągliwy uśmiech. – Może u was, w Ameryce, mniej się takim sprawom poświęca uwagi niż u nas, ale nikt za życia nie może być kanonizowany, a i po śmierci muszą się zdarzać cuda, i to za jego pośrednictwem. Jest od tego specjalna komisja, co to całymi latami ustala.

– A jak kto za życia cuduje, to się nie liczą? Aj si w tej sprawie same cudy!

– O ile mi wiadomo żywi cudów nie robią. Ocenia się dopiero jak umrą.

– Fantastik. Znaci prawdziwy, dopry człowiek, co roby dobre żęczy, to nesesery muszy być nebościk? Jak on żywy, to nie wiadomo, ci on żećiwisto dopry?

– Może być dobry, ale nie święty! Może jeszcze popełnić jakąś niegodziwość... Jak każdy grzesznik zresztą. Trzeba poczekać aż umrze.

– Yes, to my chętno poćekamy. A ta komisja jest only od cuda po szmerci, a nie od niegodźwoszcz za życia? A kto bada niegodźwoszcz? Jakeś biuro polytyczne?

– O wszystkim decyduje papież. – Przełożony wyraźnie zmierzał do zakończenia tematu.

– A który? Bo som dwa papieże, oba chwilowie żywe i nie wiadomo który będzie szwenty. A żadne cudy nie robią, bo za życia pewno im sze nie opłaca, skoro i tak się nie liczy.

- Bredzicie, panie kolego! – Z lekka obruszył się podinspektor.
- Lasiego bredzam? Skoro w polityce można ile wlezie cudować za życia, to czemu nie w koszczelach? Cudy to cudy, wsiskie wery nadpsirodżone, jaki różnica gdzie!
- Zgłóście się do księdza kapelana, kolego. On was uświadomi, jak to wygląda z punktu widzenia odpowiednich przepisów, bo ja się, znaczy, nie czuję kompetentny. – Niechętnie odparł Przeciąg.
- Tenkiu, ja skożistuję. Ja barso czekawy lasiego koszczelne cudy ważniejsie od cywynnych.
- No widzicie, kolego. A wracając do tematu, to trzeba powiadomić prokuratora. Ja nie będę za was oczami świecił! Kto jak kto, ale on na pewno w żadne cuda nie uwierzy.
- Prokurator już uwierzył, bo przecież był z nami na miejscu, wszystko widział i nie zajął stanowiska! – Z mocą wtrącił Charuj.
- No to nie ma innego wyjścia, jak tylko poczekać, aż Praojciec Dyrygent zbierze odpowiednią komisję i ona eks katedra ustali kto w państwie ma być świętym, a kto zwykłym niegodziwcem. No, chyba żeby sam Praojciec za życia został świętym, ale wtedy to już na pewno nastąpi koniec świata!

K O N I E C